

**ALFRED HITCHCOCK**

# **NOC OGNISTYCH DEMONÓW**

**NOWE PRZYGODY TRZECH DETEKTYWÓW**

**(Przełożył: ALEKSANDER MINKOWSKI)**

# ROZDZIAŁ 1

## OFIARA DEMONÓW

Tłum mieszkańców Los Angeles, zgromadzony w Centrum Kongresowym, co chwilę nagradzał Martina Morgana burzą oklasków. Wymachiwano chorągiewkami, wznoszono okrzyki na cześć przyszłego senatora. Morgan, przystojny szpakowaty mężczyzna o zniewalającym uśmiechu i dwóch pionowych zmarszczkach na czole, znamionujących siłę charakteru, uciszał zebranych i odpowiadał na kolejne pytania.

Do podium przycisnął się brodaty farmer w kowbojskim kapeluszu.

- Chcemy wiedzieć, co pan zrobi dla nas! - zagrział donośnym basem, burząc nastrój powszechnego entuzjazmu. - My, hodowcy, nie przyszliśmy tu po piękne słówka, panie Morgan! Czy starczy panu odwagi, żeby wziąć nas w obronę przeciwko bandytom ze "Stock Industries"? Odbierają nam ziemię podstępem, kombinują z bankami, byle nas wyrugować z farm i zbudować w Błękitnej Dolinie elektrownię atomową. Kto się opiera, ten idzie z torbami. Wie pan o tym?

- Wiem - odpowiedział kandydat na senatora. - I zapewniam, że nikt przemocą nie pozbawi was ziemi, nie zniszczy malowniczej Doliny, nie zatruje wody i powietrza. Jestem przeciwny tej budowie.

- Jako senator odważy się pan wypowiedzieć wojnę koncernowi Waltersa? - zapytał brodac, w asyście pomruków towarzyszących mu mężczyznom w takich samych kowbojskich kapeluszach.

- Nie jestem strachliwy - zapewnił Morgan. - Znacie mnie.

- Owszem - potwierdził farmer. - I wiemy, że przyjaźni się pan z Johnem Waltersem. Czy nie są to wyborcze obiecanki-cacanki?

Ustały okrzyki i oklaski. Zebrani czekali na odpowiedź Morgana.

Martin Morgan pochylił głowę. Kiedy ją podniósł, jego twarz wyrażała zdecydowanie.

- Jeśli zostanę senatorem, nie pozwolę "Stock Industries" na zniszczenie Błękitnej Doliny - powiedział tonem spokojnym i zarazem kategorycznym. - Macie na to moje słowo honoru. A raz danego słowa nie złamałem nigdy.

Cisza trwała jeszcze przez moment, potem pękła pod naporem oklasków. Brodaty farmer wskoczył na podium i bochnowatą łapą omal nie zmiażdżył ręki Morgana.

Redaktor Andrews, ojciec Boba, jednego z Trzech Detektywów, szybko robił notatki do artykułu o spotkaniu wyborczym popularnego w Los Angeles kandydata Demokratów na

senatora. Już miał tytuł na pierwszej stronie "Los Angeles Sun": "Czy Martin Morgan ocali Błękitną Dolinę? Nie chcemy tu elektrowni atomowej! ZAPOWIEDŹ WOJNY ZE "STOCK INDUSTRIES".

Redaktor Andrews wiedział o związkach Morgana z Waltersem ciut więcej niż brodaty farmer. Sybil Morgan, żona przyszłego senatora, nazywała się z domu Walters: łączyło ją bliskie pokrewieństwo z prezesem "Stock Industries".

John Walters był jej rodzonym bratem.

Pani Sybil Morgan poczęstowała brata kieliszkiem jego ulubionego koniaku "Remy Martin", a potem przez dobry kwadrans słuchała w milczeniu serdecznych rad i pouczeń.

- Farmerzy są ciemni i zacofani - zakończył John Walters. - Nie możemy każdego z osobna przekonywać, że nasze przedsięwzięcie to dobrodziejstwo dla kraju. Mam jednak nadzieję, że twój mąż to rozumie.

- Obawiam się, że jesteś w błędzie - powiedziała Sybil Morgan, kiedy Walters umilkł. - Martin sam wychował się w Błękitnej Dolinie. Nie pozwoli jej zniszczyć. To jeden z najcudowniejszych zakątków w Kalifornii. Ja też jestem po stronie męża.

John Walters odstawił niedopity kieliszek.

- Już w to włożyliśmy setki milionów dolarów - rzucił, nie patrząc na siostrę. - Nie możemy się wycofać. Martin ma w kieszeni zwycięstwo wyborcze. A wtedy...

- Co wtedy?

- Stanie się nieszczęście - powiedział cicho Walters. - Nie potrafię temu zapobiec, mimo że jestem prezesem koncernu. Mam nad sobą wielki kapitał, ludzi wszechwładnych i bezwzględnych. Błagam, przekonaj Martina. Inaczej dojdzie do tragedii.

Pani Sybil pobladła. Wiedziała, że brat nie rzuca słów na wiatr. Byli kochającym się rodzeństwem, John na pewno nie skrzywdzi Martina, choć obaj nie przepadają za sobą. Ale ostrzega. A w jego ustach takie ostrzeżenie to prawie wyrok.

- Porozmawiam z mężem - przyrzekła, bezwiednie krusząc w palcach orzechowe ciasteczko i rozsypując okruchy na dywanie. - Tylko że to nic nie da. Znasz go.

Walters wstał z kanapy. Objął siostrę, delikatnie pocałował w policzek. Jego zwalista sylwetka przygarbiła się, głowa uciekła w ramiona.

- Obyś się myliła - westchnął. - Zrób wszystko, co w twojej mocy, żeby zmienić zdanie. Musi poprzeć nasz projekt, gdy zostanie senatorem. Będzie wtedy w Waszyngtonie, z dala od wyborców. A ludzie pogodzą się z faktami, zapomną, nawet będą mu wdzięczni, bo uzyskają wiele nowych miejsc pracy. W Kalifornii jest mnóstwo pięknych dolin. Los Martina

jest w twoich rękach, Sybil.

Ciężkim krokiem opuścił salon. Pani Morgan widziała przez okno, jak wsiada do limuzyny, nie patrząc na pochylonego w ukłonie szofera, jak limuzyna wolno rusza, mijając klomby róż, i znika w alei przecinającej posiadłość.

- Co się stało? - usłyszała za plecami głos syna. - Dlaczego wujek tak od razu odjechał? Co grozi ojcu?

- Podśluchiwałeś.

- Podśluchiwałem. - Victor był wyrośniętym, muskularnym szesnastolatkiem o kwadratowej szczęce i ciemnych, trochę aroganckich oczach. - Niech wuj nie straszy, my się nie boimy. Mogę pogadać z Demonami.

- Z kim?

- Chyba słyszałaś o Ognistych Demonach. Trzeba im tylko dobrze zapłacić. To lepsza obstawa od bandy tajniaków z FBI. Ci faceci dadzą radę każdemu.

Oczy pani Morgan zaokrągliły się ze zdumienia.

- Co ty masz wspólnego z tymi gangsterami? - zapytała.

Victor nie odpowiedział. Wyręczyła go siostra, Angela, która chwilę wcześniej weszła do saloniku.

- Nie wiesz, że Victor chodzi do "Hadesu"? To melina Ognistych, a Victor...

- Zamknij się! - warknął brat.

Sybil Morgan długo przyglądała się synowi, a on pod jej surowym spojrzeniem coraz niżej pochylał głowę, tracąc pewność siebie. Cisza trwała dobrych kilka minut. Potem pani Morgan odwróciła się do córki.

- Zostaw nas samych - powiedziała. - Muszę porozmawiać z Victorem.

Jupiter Jones, szef agencji "Trzej Detektywi", zuł powolutku liść zielonej sałaty. Smakował jak trawa i o to właśnie chodziło. Kiedy coś nie smakuje, szybko zapycha żołądek i uczucie głodu mija, a Jupe nie po to zrzucił pięć kilogramów, wyzbywając się zbytecznego sadelka nad paskiem spodni, żeby ten sukces zmarnować. Od biedy można by go było teraz nazwać szczupłym chłopakiem, z pewną zaś przesadą - nawet chudzielcem. Do "chudzielca" brakowało mu tylko zapadniętych policzków, wciąż były z lekka pyzate. Najtrudniej odchudzić twarz. Ale na liściach sałaty i konserwowych ogórkach "made in Poland" dojdzie i do tego, byle zachować konsekwencję.

Upalny dzień chylił się ku końcowi. W turystycznej przyczepie, kwaterze "Trzech Detektywów", ustawionej na tyłach składowiska staroci, rodzinnego biznesu wujostwa

Jupitera, już przestawało być duszno. Wentylator napędzał z dworu rześkie powietrze, od morza ciągnął lekki słonawy wiaterek.

- Miałbym apetyt na twoją słynną zapiekankę - westchnął partner Jupe'a, Bob Andrews, nie odrywając oczu od komputera, w którego pamięci porządkował agencyjne archiwum, wprowadzając dane z ich ostatniej operacji pod kryptonimem "Zabójcza ekstaza".

- Porcyjka SADKO zrobiłaby nam dobrze, co, Pete?

Pete Crenshaw obliznął się tęsknie i puścił oko do Boba.

- Zielona sałata jest składnicą witamin i minerałów - poinformował Jupe. - A zwłaszcza żelaza. Pod warunkiem, że zjemy ją na surowo. Komu po główce sałaty?

- Może być na surowo - zgodził się Pete. - W chrupiącej bułeczce posmarowanej masłem, między plasterkiem sera i płatem wędzonej szynki z tłuszczkiem...

- Milcz, prowokatorze! - warknął Jupiter.

- Podobno są przyprawy o zapachu wędzonej szynki - powiedział Bob, popukując w klawisze komputera. - Posypuje się nimi szpinak...

- Czy możemy zmienić temat? - zaproponował Jupe ze słodyczą w głosie. - Pomówmy na przykład o stosunku masy mięśni do ilorazu inteligencji.

Pete już chciał się odnieść do propozycji Jupe'a, ale nie zdążył, bo rozdzwonił się telefon.

- Czy to agencja "Trzej Detektywi"? - odezwał się w słuchawce kobiecy głos. - Tu Sybil Morgan. Chciałabym się umówić na spotkanie w poufnej i bardzo ważnej sprawie.

- Jesteśmy do usług, pani Morgan - odpowiedział Jupe. - Rozumiem, że mówię z żoną kandydata na...

- Tak - przerwał mu kobiecy głos. - Jutro, dziesiąta rano, w naszej rezydencji. Beverly Hills, Cabbatt Road 2816.

- Będziemy punktualnie - przyrzekł Jupiter.

- Wolalabym rozmowę w cztery oczy. I w całkowitej dyskrecji.

- W porządku, pani Morgan. Postaram się nie spóźnić.

Odłożył słuchawkę. Pete i Bob patrzyli na niego pytająco.

- Czego może chcieć od nas żona przyszłego senatora? - zapytał Pete, nie kryjąc zdziwienia.

- Cena popularności - odparł Jupe tonem przeprasającym, wedle wymogów z lekka fałszywej skromności. - Jeśli problem, to "Trzej Detektywi". A problemy nie omijają nawet rodzin popularnych polityków.

- Choć pozują na ideały - dorzucił Bob Andrews.

Drzwi otworzył ciemnoskóry służący o siwych, krótko przyciętych włosach. Jupe podał mu wizytówkę:

**TRZEJ DETEKTYWI**

**Badamy wszystko**

**???**

**Pierwszy Detektyw . . . . . Jupiter Jones**

**Drugi Detektyw . . . . . Pete Crenshaw**

**Dokumentacja . . . . . Bob Andrews**

Służący rzucił na nią okiem i powiedział, że pani Morgan już czeka. Przez duży marmurowy hali zaprowadził Jupe'a do saloniku umeblowanego na biało, z kremowym puszystym dywanem od ściany do ściany i kominkiem z kutego żelaza oprawionym w brunatny piaskowiec.

Z kanapy podniosła się szczupła szatynka w garsonce z ciemnoszarego jerseyu i podała Jupe'owi rękę.

- Sybil Morgan. Dużo o was słyszałam od naszego przyjaciela, prokuratora Nortona. Jest pełen uznania dla Trzech Detektywów.

Miała łagodny głos i sympatyczną twarz, z lekka porysowaną zmarszczkami wokół bardzo niebieskich oczu.

- Dziękuję - powiedział Jupe.

Pani Morgan milczała. Jakby zbierała myśli i próbowała ułożyć je w przekonujący ciąg słów.

Wskazała Jupiterowi fotel oddzielony od kanapy inkrustowanym stolikiem z wazonem fioletowych róż.

- Za pięć dni są wybory - odezwała się w końcu. - Mój mąż kandyduje do senatu. Jest prawym człowiekiem o nieskazitelnej reputacji. - Jupe przytaknął ruchem głowy: Martin Morgan faktycznie cieszył się powszechnym szacunkiem. - Boję się o niego - usłyszał. - Grozi mu publiczna kompromitacja, na która nie zasłużył.

Jupe czekał. Oczy Sybil Morgan zaszklily się, ale zapanowała nad sobą.

- Nasz syn, Victor, ma jakieś powiązania z gangiem Ognistych Demonów - powiedziała po pauzie. - jeżeli wyjdzie to na jaw, mój mąż będzie skończony.

Ogniste Demony: banda zmotoryzowanych skinheadów, którymi od dawna interesuje się policja. Bohaterowie wielu rozrób i awantur, sprawcy rozbojów. O Nocy Ognistych

Demonów słyszało całe Los Angeles: podpici i rozwydrzeni, rozpędzili kondukt żałobny podczas pogrzebu ciemnoskórego pastora, pobili uczestników, a o zmierzchu zdewastowali cmentarz. Nocny pogrom zakończył się zdemolowaniem sklepów w murzyńskiej dzielnicy i podpaleniem lokalnego kościoła. Byli sprytni, nie zostawili dowodów, które przekonałyby sąd. Aresztowano ich i wypuszczono na wolność. Są postrachem przedmieść zamieszkanych przez Murzynów i Latynosów.

- Państwa syn należy do gangu? - zapytał Jupe.

- Nie sędzę. Ale mają coś na Victora, szukają go. Grożą, że to ujawnią w przeddzień wyborów, jeśli nie dojdzie z nimi do porozumienia. - Pani Morgan pochyliła się nad stolikiem w stronę Jupe'a. - Błagam, pomóżcie.

- Co moglibyśmy zrobić? - zapytał trochę bezradnie Jupiter.

Zdawał sobie sprawę, że ujawnienie powiązań Victora z Ognistymi Demonami oznaczałoby klęskę wyborczą jego ojca. Uważał to za boleśnie niesprawiedliwe, ale tak to już jest w polityce: ojciec płaci za syna. Wyborców nie obchodzą detale. Hańba, jak puchar przechodni, spada na Boga ducha winnego.

- Mąż o niczym nie wie - powiedziała cicho Sybil Morgan. - Ja dowiedziałam się przypadkowo. Victor jest przerażony, Ogniste Demony są zdolne do najgorszej podłości. Nasz syn powinien zniknąć. Musi pozostać w ukryciu aż do wyborów. Ci bandyci nie mogą go znaleźć. Żądają od niego stu tysięcy dolarów, obiecał, że je dostaną, należy przeciągać sprawę.

- Nie jestem pewien, czy przeciąganie takiej sprawy to najlepszy pomysł - odezwał się Jupe, skubiąc dolną wargę.

- W tej chwili nie mam lepszego pomysłu - powiedziała pani Morgan. - Mój brat, John Walters, uważa, że Victor powinien na pewien czas zniknąć.

- Prezes "Stock Industries" jest pani bratem? - zapytał Jupe. - Czytałem w gazetach, że pan Morgan zamierza wypowiedzieć mu wojnę o Błękitną Dolinę.

Sybil Morgan dziwnie się zmieszała. Czyżby trzymała z bratem przeciwko własnemu małżonkowi? Coś tu nie grało. Przy okazji warto będzie przyjrzeć się panu Waltersowi - pomyślał Jupe.

- Chcę, żebyście ukryli Victora aż do wyborów - usłyszał. - Idzie mi o męża. Później poszukamy rozwiązania całego problemu.

- Myślę, że tego możemy się podjąć - powiedział Jupe. - Pod warunkiem, że nikt nie będzie wiedział, gdzie przebywa Victor. Nawet pani.

- Zgoda - usłyszał. - Mam do was zaufanie.

Wyszła z saloniku. Po paru minutach wróciła z synem. Pryszczaty mięśniak o kwadratowej szczęce nawet nie podał Jupiterowi ręki. Patrzył na Jupitera z aroganckim uśmiechem.

- To ma być ten słynny detektyw? - zwrócił się do matki.

Jupe patrzył przed siebie, ponad głową Victora.

- Zrobisz wszystko, co ci każe - powiedziała surowo pani Morgan. - Już dosyć narozrabiałeś. Pamiętaj, że chodzi o ojca.

- W porządku - mruknął Victor. - Pięć dni wytrzymam. Dokąd mnie zabieracie? - zwrócił się do Jupe'a.

Jupiter zignorował pytanie. Sybil Morgan zapewniła, że pokryje wszelkie koszty, i zaproponowała, że odda Jupe'owi do dyspozycji swój samochód.

- Wóz by się przydał - powiedział Jupe. - Ale państwa auto może być rozpoznane.

- W garażu stoi sportowa honda mojego kuzyna. Jack studiuje we Francji, zostawił ją u nas na przechowanie. Nie była używana od roku.

Jupe już wiedział, gdzie ukryje Victora. Nad jeziorem, w lasach, na północ od Rocky Beach jest domek myśliwski należący do redaktora Andrews. Ojciec Boba jeździ tam rzadko, nawet nie będzie musiał wiedzieć, że ktoś tam przebywa.

Kiedy służący wyprowadzał z garażu zakurzoną hondę, Jupe przez komórkę połączył się z Bobem. Ustalili, że Bob będzie czekał na nich w domku myśliwskim za dwie godziny.

Victor wyszedł z domu tylnym wyjściem. Miał ze sobą spory plecak.

- Spadamy stąd - mruknął do Jupitera.

- Moment - Jupe przytrzymał go za łokieć. - Wziąłeś ze sobą telefon komórkowy?

- A bo co?

- Wziąłeś?

- Mhm.

- Daj mi - Jupe wyciągnął rękę. - Żadnych kontaktów.

Victor chciał coś warknąć, ale się powstrzymał. Po chwili wahania wyjął z plecaka aparat i oddał Jupe'owi. Jupe zaniósł go pani Morgan. Kiedy wracał, zastąpiła mu drogę jasnowłosa dziewczyna w szortach.

- Dokąd jedziesz z moim bratem? - spytała.

- Na przejażdżkę - odparł Jupe, patrząc z podziwem na jej długie, opalone na brąz, smukłe nogi.

- Mogę z wami?

Jupe nie zdążył odmówić.



- Angelo, proszę do mnie! - rozległ się głos pani Morgan.

Angela niechętnie usłuchała. Po drodze cmoknęła Victora w policzek.

- Zaraz wracasz? Mieliliśmy zagrać w tenisa.

- Innym razem - odpowiedział niewyraźnie Victor.

Jupe usiadł za kierownicą hondy. Silnik z miejsca wszedł na wysokie obroty, jakby marzył o tym przez rok próżnowania w garażu.

Wyjechali przez tylną bramę, ukrytą w gęstych zaroślach. Jupe nie zauważył, że w ślad za nimi po kilku minutach ruszył czarny dżip, prowadzony przez siostrę Victora.

## ROZDZIAŁ 2

### ANONIM Z POGRÓŻKĄ

Kuzyn pani Morgan, studiujący we Francji, musiał mieć fantazję i wymagania: na pokładzie sportowej hondy znajdowały się najprzemysłniejsze bajery, mrugając do Jupe'a z tablicy rozdzielczej oczkami kolorowych światełek, sygnalizując na monitorze komputera każde wzniesienie i zakręt, gęstość ruchu na drodze, jakość nawierzchni. Victor włączył radio i kabinę wypełniła po brzegi muzyka techno, atakując bębenki do granic wytrzymałości.

Jupe wyciszył głośniki. Zjechali z autostrady na drogę lokalną, kluczącą wśród zielonych pagórków i pastwisk, po których hasały tabuny koni.

- Pogadajmy - zaproponował Jupe.

- Nie ma o czym - mruknął Victor, wyraźnie zły, że muzyka przycichła.

- Muszę wiedzieć, co cię łączy z Demonami - powiedział Jupe. - Jak dawno ich znasz.

Czym ci grożą.

- Moja sprawa. Grożą staremu, nie mnie. Nic lubią władzy. Taka rodzinka jak moja to kula u nogi.

- Ale lubią wasze pieniądze - zauważył Jupe. - Nie należysz do Ognistych Demonów.

- Jesteś pewny?

- Miałbyś tatuaż. Pysk diabła na lewym ramieniu.

- Na tatuaż trzeba zapracować. - Victor zapalił, zakrztusił się i wyrzucił papierosa za okno. - Macie mnie zamelinować na pięć dni. Stara zapłaci i na tym koniec.

- Mylisz się - powiedział Jupe obojętnym tonem, wprowadzając hondę w kolejny zakręt. - Pani Morgan uważa, że nie należysz do gangu. Bandziorem nie pomagamy.

- To co mi zrobisz? - zapytał Victor.

- Jeśli jesteś jednym z tych rasistowskich drani, możemy już zawrócić - rzucił Jupe i zdjął nogę z gazu.

- Spoko - mruknął Victor. - Nie jestem. Znam tych gości. Zna ich każdy, kto bywa w "Hadesie". Czasem wypijaliśmy po piwie, słuchałem ich gadek. Lubią się przechwalać, że robią, co chcą, ale śladów po nich nie ma.

- Opowiadali o Nocy Ognistych Demonów? - zapytał Jupe.

- Dowalili czarnuchom - Victor uśmiechnął się krzywo. - Policja nie znalazła dowodów. Kto widział, gęba na kłódkę. Lepiej im nie podpadać.

- Ty widziałeś?

Victor nie odpowiedział. Wciąż uśmiechał się ironicznie. Jupe już zaczynał żałować, że przyjął ofertę pani Morgan. Pryszczaty dryblas podobał mu się coraz mniej.

- Handlują prochami - usłyszał. -Mają obstawione wszystkie szkoły w południowej części miasta. I nikt ich nie złapał za rękę. Bonza to chojrak, nikogo się nie boi.

Bonza był przywódcą Ognistych Demonów. Pisano o nim w gazetach, że zna na wrywki kodeks karny. Podobno studiował kiedyś prawo, wyleciał z uczelni za rasizm.

- Mam wrażenie, że te typy ci imponują - zauważył Jupe.

- Nie chcę zaszkodzić staremu. Niech sobie będzie senatorem.

- Co oni mają na ciebie? - zapytał Jupiter.

- Może nic, może coś - burknął Victor. - Chcą szmału. Ja mam to załatwić, taki jest warunek. Kiedy będzie po wyborach, jakoś dogadam się z Bonzą.

- Mogą nie czekać do wyborów - powiedział Jupe.

- Potrzebują mnie. Wiedzą, że stary się nie ugnie. Wy mi dajcie tylko te pięć dni, później sam sobie poradzę.

- Chciałbym jednak wiedzieć, co mają na ciebie, czym chcą skompromitować pana Morgana...

Victor milczał. Honda zjechała z drogi w leśną przesiekę, wyciętą w coraz dzikszym gąszczu. W oddali błysnęła turkusowa gładź jeziora. Wóz skręcił w wąską, prawie niewidoczną ścieżkę, gałęzie zachrobotały po karoserii.

Nad urwistym brzegiem jeziora objawił się domek myśliwski z grubych, poczerniałych bali. Był osłonięty drzewami. Przed domkiem stał czerwony mustang, o który opierał się Bob Andrews.

Angela Morgan zaparkowała dzipa w przesiece leśnej, na skrzyżowaniu ze ścieżką, w którą skręciła honda. Dalej poszła pieszo. Dobry kwadrans przedzierała się przez gęstwinę, aż dotarła do urwiska.

Ukryta za pnem stuletniej sosny, obserwowwała brata rozmawiającego z Jupe'em i kimś jeszcze przy zaparkowanych obok siebie dwóch samochodach. Potem wszyscy weszli do chaty prawie niewidocznej w cieniu starych drzew.

Co to za konspiracja? Dlaczego Victor odjechał tak nagle i najwidoczniej za zgodą matki? Angela miała chęć objawić swoją obecność, zawołać do brata, że wytropiła go, lecz coś ją przed tym powstrzymało.

Angela poczekała jeszcze trochę i ruszyła w drogę powrotną. Kiedy dotarła do dzipa, usłyszała daleki warkot dwóch silników samochodowych.

Mecenas Jenkins, przyjaciel i radca prawny kandydata na senatora, palił cygaro i czekał, aż Martin Morgan skończy omawiać ze swoim sekretarzem program dzisiejszych spotkań wyborczych: wiec w Norfolk, przecięcie wstęgi w nowo otwartym szpitalu, położenie kamienia węgielnego pod budowę domu starców, konferencja prasowa w Beverly Hills. Peter York, asystent Morgana, młody człowiek w sportowym garniturze, raportował punkt po punkcie, precyzyjnie podając miejsce i czas kolejnych imprez.

- Za siedem minut ruszamy do Norfolk - dokończył. - Limuzyna czeka na dole. Dla pań zakupiliśmy czerwone róże, chorągiewki i plakaty są już na miejscu. Spotkanie musi pan zakończyć o jedenastej czterdzieści pięć.

Dopiero teraz Morgan przywitał się z mecenasem Jenkinsem.

- Idzie świetnie - powiedział. - Zabierzesz się z nami do Norfolk?

Był w świetnym humorze, pachnący dobrą wodą kolońską, z różowym goździkiem w butonierce, i Jenkinsowi zrobiło się go żal. Ale nie było wyjścia.

- Musimy porozmawiać w cztery oczy. - Spojrzał znacząco w stronę Yorka. - Mam do ciebie ważną sprawę.

Martin Morgan trochę się zdziwił, bo zatroskany ton nie pasował do mecenasa, który był z natury człowiekiem jowialnym i rzadko okazywał niepokój. Dał znak sekretarzowi, aby zostawił ich samych.

- Czekaj na dole, Peter. Zaraz schodzę.

Asystent Morgana rzucił krótkie, badawcze spojrzenie na Jenkinsa i opuścił gabinet. Zamek w drzwiach nie szczęknął, ale nikt nie zwrócił na to uwagi. Martin Morgan patrzył pytająco na mecenasa, a Jenkins zastanawiał się, jak zacząć.

- Dostałem dziwny list - powiedział, zasłaniając się kłębem dymu z cygara. - Przez e-mail, za pośrednictwem internetu i bez nadawcy. Nie przywiązuję wagi do anonimów.

- Więc o co chodzi? - zapytał Morgan.

- List dotyczy Victora - odezwał się po krótkiej pauzie mecenas Jenkins. - Twój syn ma powiązania z Ognistymi Demonami.

- Victor i skinheadzi? - zdumiał się Morgan. - To kompletny absurd.

- Podobno uczestniczył w ekscesach podczas słynnej Nocy Demonów - powiedział Jenkins.

- Brednie.

- Autor listu twierdzi, że ma niezbite dowody. I że je ujawni.

- Nic paktuję z szantażystami - rzucił twardo Martin Morgan. - Nie dostaną od nas złamanego centa. Wyrzuć list do śmieci.

- Zrobiłbym tak od razu, gdyby nie to.

Jenkins pokazał Morganowi odbitkę fotograficzną. Było to amatorskie zdjęcie, zrobione zapewne z ukrycia przez przypadkowego świadka zająć. Przedstawiało grupę skinheadów w charakterystycznych skórzanych kurtkach z wizerunkiem diabła, kapiących leżącą na chodniku kobietę. W tle widać było płonący sklep.

Głowę jednego z Ognistych Demonów zakreślono kółkiem. Twarz, trochę rozmazana, przypominała Victora.

- Chyba widziałem to zdjęcie w gazecie - powiedział Morgan. - Nikomu nie przeszło przez myśl, że to może być mój syn.

- Autor listu twierdzi, że dysponuje drugą fotografią, na której Victor jest widoczny wyraźnie - powiedział mecenas Jenkins. - Zanim do ciebie przyszedłem, złożyłem wizytę w barze "Hades", melinie Demonów. Porozmawiałem z obsługą.

- No i co? - zapytał niecierpliwie Morgan.

- Pokazałem im fotografię Victora. Udawałem, że go szukam. Wszyscy go tam znają, radzili, abym pomówił z Bonzą, szefem gangu. Są ponoć w kontakcie ze sobą.

Martin Morgan ciężko siadł w fotelu i objął dłońmi skronie.

- Ile chcą? - zapytał drewnianym głosem.

Mecenas Jenkins wypuścił przed siebie gęsty kłąb dymu.

- Nie chcą pieniędzy - odparł po pauzie. - Żądają, abys zrezygnował z kandydowania. Dają ci na to cztery dni. Jeśli się nic wycofasz, zdjęcie Victora w uniformie Ognistych Demonów, katującego kobietę, ukaże się w przeddzień wyborów we wszystkich gazetach.

Morgan zacisnął powieki. Potem otworzył oczy i wstał z fotela.

- Nie wierzę w ani jedno ich słowo - rzucił twardo. - Victor nie może być jednym z tych bandytów. Wieczorem z nim porozmawiam. W naszej rodzinie się nie kłamie. Nie zrezygnuję z kandydowania. Jeszcze dziś wyjaśnię wszystko.

- A jeśli przyzna się, że bywa w "Hadesie"? Że ma kontakty z gangiem?

- To mój syn - powiedział Martin Morgan. - Nie mógł brać udziału w Nocy Ognistych Demonów.

Jenkins westchnął. Pomyślał, że ojcowie mało wiedzą o swoich dzieciach. Jego własna córka nagle rzuciła medycynę i została statystką w Hollywood, przekonana, że zrobi karierę Julii Roberts. Jest do niej trochę podobna, ale to raczej minus niż plus: reżyserzy wolą oryginalność.

Mecenas Jenkins miał przecucie, że jego przyjaciel Martin Morgan przeżyje bolesny wstrząs i że stoi nad przepaścią.

W myśliwskim domku wszystko było z litych bali - stół, ławy, dwa masywne zydle, półka na książki, proste łóżko przykryte pledem.

- Nie widzę telewizora - powiedział Victor. - Ani radia, ani telefonu. Nawet głupiej lodówki...

- Są książki - powiedział Bob. - Konserw na pięć dni powinno ci wystarczyć. Jeśli ci się znudzą, w sieni jest wędką, a w jeziorze pstrągi.

Victor z nieoczekiwanym zaciekawieniem podszedł do półki z książkami. Przeleciał wzrokiem po grzbietach.

- Londona znam całego - mruknął. - Hemingwaya też. Lem, Vonnegut? Tych paru książek nie znam. W porządku. Dacie mi kogoś do towarzystwa? Może być brunetka z długimi nogami albo ruda bez nałogów.

Jupe puścił mimo uszu dowcipasy Victora.

- Musimy wiedzieć, jakiego haka mają na ciebie Ogniste Demony - powiedział. - Wydawało mi się, że ktoś za nami jechał. Może się myłę. Powinniśmy jednak być na wszystko przygotowani.

Victor nie okazał niepokoju. Jupe'a troszkę to zaskoczyło. Przyglądał się, jak pryszczaty osiłek wertuje "Solaris" Lema. Wreszcie skończył przerzucanie kartek.

- Będą nawijać, że brałem udział w Nocy Ognistych Demonów - powiedział. - Dam sobie radę. Byle do wyborów. Jak stary zostanie senatorem, mogą mi naskoczyć.

Bob spojrział na Jupe'a ze zdziwieniem. Trzej Detektywi nie podejmowali się brudnych zadań. Na nim również krostowaty mięśniak nie zrobił dobrego wrażenia, a do tego jakieś związki z gangiem Demonów... W co oni się pakują

Jupe milczał, skubiąc dolną wargę.

- Nie podobasz mi się - powiedział półgłosem. - Ale przyrzekłem twojej matce, że przez pięć dni będziesz bezpieczny. Twoi rodzice cieszą się dobrą opinią. Chyba nie ich wina, że trafił im się taki syn.

- Jaki? - Victor nagle się rozeźlił. - Co ty o mnie wiesz? Podjąłeś się, więc rób swoje i spadaj.

Jupe skinął na Boba. Nie zegnając się z Victorem, opuścili domek myśliwski.

- W co tyś nas wpakował? - zapytał Bob, zanim wsiadł do mustanga. - Ten typ wygląda na bęcwała. Jeśli należy do Ognistych Demonów...

- Musimy to sprawdzić - przerwał mu Jupe, sadowiąc się za kierownicą hondy. - Mam ciągle wrażenie, że ktoś jechał za nami, chociaż nikogo nie widziałem.

O innym wrażeniu Jupe nie napomknął Bobowi: coś mu podpowiadało, że Morgan

junior nie był naturalny.

John Walters, prezes "Stock Industries", nie zjadł tym razem lunchu w saloniku jadalnym na szczycie wieżowca swojej korporacji, tylko zjechał na dół, przeszedł spacerkiem kilka przecznicy wzdłuż Bulwaru Zachodzącego Słońca i wstąpił do małej restauracyjki "Casa Italiana", gdzie czekał na niego stolik w przyciemnionej loży. Nie zwrócił uwagi, że w pewnym oddaleniu towarzyszy mu puciołowaty młodzieniec wyglądający na urzędnika. Usiadł w loży. Kelner przyjął zamówienie i zniknął.

Po paru minutach do loży wszedł młody człowiek w sportowym garniturze. Walters przywitał się z Peterem Yorkiem i wskazał mu krzesło naprzeciwko siebie.

- Mają tu świetne drumble ustercone w sosie cynamonowym powiedział. - Zamówiłem dla ciebie też. Jak udał się wiec w Norfolk?

- Szef był znakomity - odparł York, rozsiadając się na krześle i bez pytania sięgając po cygaro w etui z monogramem Waltersa.

- Przyszło dwa razy więcej ludzi, niż żeśmy się spodziewali. Szef idzie do przodu jak lodołamacz. Mam tylko pół godziny, panie prezesie, za czterdzieści pięć minut kładziemy kamień węgielny pod dom starców i pędzimy na konferencję prasową do Beverly Hills.

- Rozumiem, że nie bez powodu zadzwoniłeś do mnie - powiedział John Walters. - Cóż to za rewelacja?

Kelner wniósł półmisek z płonącymi drumblami, rozlał czerwone wino do dwóch kieliszków i dyskretnie opuścił lożę.

Peter York spróbował wina i z uznaniem oblizał wargi.

- Wyjątkowy bukiet - zauważył. - Nie ma to jak rocznik sześćdziesiąt cztery. Pański szwagier jest w poważnym kłopotcie. Aż dziw, że potrafił tak panować nad sobą podczas dzisiejszego wiecu.

- Przejdź do rzeczy - ponaglił prezes "Stock Industries".

Peter York pochylił się nad stolikiem, prawie dotykając wargami ucha Waltersa.

- Victor jest zamieszany w aferę z gangiem - wyszeptał. - Chyba brał udział w Nocy Ognistych Demonów. Mecenaz Jenkins dostał jakiś list. Dziś rano ostrzegł Morgana.

- Ile żądają? - zapytał Walters. - My zapłacimy więcej.

- Nie dosłyszałem - odparł York. - Byłem za drzwiami, panie prezesie. Zdaje się, że nie chodziło o pieniądze.

- Zawsze chodzi o pieniądze - powiedział Walters, nakładając sobie na talerz kolejną porcję drumbli. - Przysłali jakiś dowód?

- Jenkins mówił z szefem o fotografii. Ktoś zrobił zdjęcie z ekscesów tamtej nocy. Pan Morgan uważa, że to nie jego syn jest na fotografii, że Victor nie może być związany z gangiem Demonów. Ale bardzo się zdenerwował. A oni napisali, że mają lepsze zdjęcia.

Prezes "Stock Industries" popił winem ostatni kęs drumbla i wytarł usta serwetką. Nie zauważył, że puciołowaty młodzieniec, który szedł za nim ulicą, teraz przystanął obok łóży i szuka czegoś w teczce.

- Zanim zostaniesz u mnie dyrektorem, musisz mi przynieść te fotki - polecił Walters.  
- Jeśli wyjdzie na jaw, że mój siostrzeniec uczestniczył w ekscesach Ognistych Demonów, Martin przegra wybory.

- Ja też tak myślę - przytaknął Peter York. - Gdybym nie był tak zajęty kampanią...

- W nocy nie jesteś - rzucił twardo Walters. - Nie musisz się wysypiać. Sama informacja to mało, Peter. Zaczęłeś - skończysz. Masz dwa dni na dostarczenie mi materiałów o Victorze. Albo szef cię wykopie. Morgan musi uwierzyć, że przegra wybory. Jeśli tego nie załatwisz, jest po tobie, rozumiałeś?

- Chyba zrozumiałem - mruknął niewyraźnie York.

Odechciało mu się wina, drumbli nawet nie tknął, patrzył na Waltersa jak skopany pies.

- Powiedziałby pan Morganowi, że pracuję dla pana?

- Dołączyłbym to do gratulacji - Walters zaśmiał się i zaraz przestał. - Ja go ratuję, rozumiesz? - warknął. - A jako senator musiałby mieć asystenta godnego zaufania.

Martin Morgan wrócił do domu późnym wieczorem. Gdy pocałował żonę, czekającą na niego w hallu rezydencji, ta zauważyła od razu szarawą bladość jego policzków.

- Spotkania musiały cię bardzo zmęczyć - powiedziała. - Jak wypadły?

- Niestety, doskonale - odparł pan Morgan z dziwnym, smutnym uśmiechem. - Ludzie mi ufają, wierzą we mnie.

- Mają słusność - przyznała Sybil Morgan. - A my czekamy na ciebie z kolacją.

- Przedtem chciałbym zamienić kilka słów z Victorem - powiedział Martin Morgan, rozluźniając krawat. - Sam na sam, jeśli pozwolisz.

- Czekamy na ciebie we dwie, ja i Angela. - Pani Morgan odwróciła oczy. - Victora nie ma w domu, chyba gdzieś wyjechał.

- "Chyba", "gdzieś"? - krzaczaste brwi Morgana uniosły się w zdziwieniu.

- Nie mówił ci, że planuje wyjazd? To taki wiek, Martinie, trochę buntu, przekora, musimy być wyrozumiali. Chodźmy na kolację.



- Ale ty wiesz, gdzie jest Victor?

- Nie mam pojęcia - wyznała szczerze pani Morgan. - Powiedział mi tylko, że wróci za cztery, pięć dni.

Twarz Morganna skamieniała.

Patrzył na żonę z napięciem.

- Muszę go widzieć natychmiast - rzucił nieswoim głosem. - Jeszcze dziś, najpóźniej jutro rano. Może Angela wie, dokąd pojechał?

- Nie przypuszczam. Victor nikomu nie zwierza się ze swoich planów. Prawda, Angelo? - zwróciła się do córki, która stała właśnie w progu jadalni.

Angela otworzyła i zamknęła usta. Spojrzenie matki zmusiło ją do milczenia. Po chwili przecząco poruszyła głową. Pan Morgan westchnął i ciężkim krokiem oddalił się w stronę swego gabinetu.

Sybil poszła za nim, starannie zamknęła drzwi.

- Czy coś się stało, Marty? - spytała półgłosem.

- Nic szczególnego, kochanie - odparł mąż po pauzie. - Chciałbym chwilę odpocząć.

Pani Morgan zostawiła go samego w gabinecie. W głębi hallu czekała na nią córka.

- Co to wszystko ma znaczyć? - syknęła.

- Proszę, nie zadawaj mi pytań - odparła szeptem Sybil Morgan. - Idzie o dobro ojca. Gdy będę już mogła, wszystko ci wytłumaczę.

Angela pochyliła głowę. Odkąd sięgała pamięcią, matka po raz pierwszy powiedziała ojcu nieprawdę.

## ROZDZIAŁ 3

### NIKCZEMNA OFERTA

W kempingowej przyczepie Trzech Detektywów panowała atmosfera wyczuwalnego napięcia. Bob i Pete przyglądali się podejrzliwie Jupiterowi, który w skupieniu przeżuwał liść zielonej sałaty posmarowanej chudym twarożkiem. Odgryzał maciupcie kęsy i żuł powolutku, jakby się zmagał z łykowanym mięsem nestora indyczego rodu.

- Co tu jest grane? - zapytał w końcu Pete. - Mamy się opiekować draniem z gangu Ognistych? My?!

- Na to wygląda - mruknął Bob. - Za samą gębę dałbym mu rok paki.

Jupe przełknął wreszcie ostatni okruch twarożku.

- Opiekujemy się kandydatem na senatora - powiedział.

- Pan Morgan jest przyzwoitym człowiekiem i w Kalifornii wszyscy porządni ludzie dobrze mu życzą.

- Ale co ma do tego ten gnojek? - nie wytrzymał Bob.

- Na razie wiemy, że szantażują go Ogniste Demony - powiedział Jupe. - Grożą mu skompromitowaniem ojca.

- Porachunki między Demonami to chyba nie nasz interes - mruknął Pete.

- Mnie się nie podoba, że ojciec ma odpowiadać za syna - Jupe popatrzył tęsknie na pojemnik z twarożkiem i mniej tęsknie na główkę sałaty. - Nazywają to zbiorową odpowiedzialnością. Victor to nie dzieciak. Poza tym...

- Co "poza tym"? - zapytał Bob.

- Trzeba sprawdzić, co go łączy z Demonami - odparł Jupe.

Bar "Hades", położony w dzielnicy portowej, przypominał piekło. Czarnego wystroju sali dopełniały wielobarwne diabelskie ryje, namalowane na ścianach purpurową i białą farbą, sceny ze straceń na gilotynie, łamania kołem, rozciągania na madejowym łożu i przypalania ogniem. Wszystko to falowało w kłębach tytoniowego dymu, oparach piwa i przeraźliwych dźwiękach heavy metalu. Na ławach wzdłuż długich dębowych stołów siedziały dziewczyny z wyzywającym makijażem, popijali marynarze i robotnicy portowi, gwarzyły ponure typy o wyglądzie kloszardów. Jedyne okrągły stół w rogu sali obsiedli faceci w skórzanych motocyklowych kurtkach z jaskrawymi wizerunkami diabła, ogoleni "na pałę", z brodami i wąsikami ufarbowanymi na czerwień, zieleń, żółć. Ci zachowywali się najgłośniej:

bełkotliwie wyli chórem jakąś pieśń, coś wykrzykiwali, grzmocili pięściami w blat stołu, rechotali, waląc się po plecach.

Jupe, w poplamionym kombinezonie z drelichu i wełnianej i czapeczce, nie zwracał na siebie niczyjej uwagi. Siedział przy barze nad kuflem imbirowego piwa, którego od godziny nie ubywało, i tępo wpatrywał się w zadymioną salę.

- Pierwszy raz cię tu widzę - zauważył barman, jednooki brzuchacz w pasiastej koszulce. - Piwko nie smakuje?

- Wolę coś mocniejszego, ale dziś jest czwartek - odpowiedział tajemniczo Jupe. - Rozglądam się za robotą.

- Nie ty jeden - uśmiechnął się barman.

- Miałem spotkać się tu ze znajomym, przyrzekł pomóc w znalezieniu pracy - wymruczał Jupe, wodząc po sali przymgłonym wzrokiem. - Nie widzę go. A mówił, że prawie co wieczór bywa w "Hadesie".

- Co to za gość? - spytał brzuchacz, napełniając piwem kufle.

- Victor Morgan.

Jednooki barman obrzucił Jupe'a badawczym spojrzeniem. Jupiterowi wydało się, że dostrzegł ironiczny uśmieszek.

- O Vica ci chodzi? Od paru dni nie widziałem tej łajzy. Może tamci będą coś wiedzieć - brzuchacz wskazał ruchem głowy na towarzystwo przy okrągłym stole.

Jupe podziękował mruknięciem, nie ruszył się jednak z miejsca. Ogniste Demony zachowywały się coraz hałaśliwiej. Brzęknęło tłuczone szkło.

Do baru wszedł młody mężczyzna w eleganckim sportowym garniturze. Stał w progu i rozglądał się; Jupe odnotował w myśli, że nie pasuje do tutejszych bywalców i że chyba szuka kogoś, co po chwili znalazło potwierdzenie: zaczął przepychać się w kierunku okrągłego stołu oblężonego przez Ognistych.

Jupe stał się czujny. Miał wrażenie, że gdzieś już widział tego sportowca. Obserwował z ukosa, jak przybysz podchodzi do wygolonych, jak szepcze coś jednemu z nich do ucha. Ten w końcu wstał i obaj podeszli do baru, siedli na wysokich stołkach. Sportowiec zamówił dwie podwójne whisky "Chivas Regal", najdroższej w spelunie. Siedzieli blisko Jupe'a, ale nie słyszał, o czym mówili, bo prowadzili rozmowę szeptem. Demon miał złamany nos i zielonkawę wąsy. Musieli w końcu dojść do porozumienia: sportowiec wyciągnął portfel i wręczył zielonowąsemu kilka banknotów, a ten wstał, podeszedł do rudej facetki umalowanej na wampira i pogadał z nią chwilę. Ruda zaczęła szperać w torbie. Znalazła. Dała zielonowąsemu jakąś fotografię. Demon wrócił do sportowca i przekazał mu zdjęcie. Zaraz

po tym sportowiec opuścił bar.

Zielonowąsy wolniutko sączył whisky, potem przelał do swojej szklanki niedopity przez sportowca szlachetny trunek i też go wysączył. Ruda stanęła za jego plecami, klepnęła Demona w ramię.

- Odpalasz działkę, Dick.

- Za co?

- Wzięłaś kasę. Widziałam.

- Ty już dostałaś od gazeciarza. Spadaj. No?

Ponieważ ruda nie przestraszyła się groźnego tonu, zielonowąsy odsunął ją na bok i wrócił do swoich. Ruda usiadła na stołku obok Jupe'a.

- Sukinkot - warknęła. - Handluje moim towarem...

- Może ja bym coś kupił od ciebie - odezwał się Jupe.

Wampirzyca spojrzała na niego z ukosa.

- Na mózg wam padło. Tobie też potrzebny widoczek z zadymy? Jeszcze jeden fan walniętych Demonów. Ile dajesz?

- Najpierw pokaż towar - burknął Jupe.

Ruda wsadziła rękę do brezentowej torby, pogrzebała w niej i wyjęła kilka zdjęć. Przedstawiały Ognistych Demonów okładających skuloną na ziemi kobietę, rozbijających szybę wystawową, wlokących za włosy ciemnoskórego chłopaka.

- Cyknęłam tak, dla hecy - powiedziała ruda. - Nie kapowałam, że będzie z tego kasa.

- Chciałbym fotkę z Morganem. To mój kumpel. Dam dwie dychy.

- Vic Morgan? - wampirzyca wyszczerzyła zęby żółte od nikotyny. - Mam dziś fart do szajbusów. Tamten wziął to - pokazała fotografię z biciem kobiety. - Tu stoi Vic - wskazała palcem na jednego z oprychów. - Trzy dychy i jest twoje.

Jupe uważnie przyjrzał się zdjęciu. Było kiepskie, ale twarze z grubsza dawały się rozpoznać.

- To nie jest Vic Morgan - powiedział do rudej.

- Tamten frajer nie grymasił - mruknęła. - Bierzesz czy spadasz? Za pięć dych załatwię ci autograf Bonzy.

Wyraźnie brała go za fana Demonów. Musieli mieć ich sporo.

- Autograf już mam - powiedział Jupe, dał rudej trzydzieści dolarów i schował zdjęcie do kieszeni. - Morgan mnie wyrolował, miał tu być dzisiaj, przyrzekł mi robotę. Nie wiedziałem, że Demony rolują kumpli.

- Jaki z niego...

Wampirzyca nie dokończyła. Jupe poczuł, że unosi się w powietrze. Wykonał nad stołkiem półobrót i znalazł się twarzą w twarz z olbrzymem o krogulczej gębie z haczykowatym nochalem i małymi oczkami. Krogulec unosił go w górę, trzymając za kołnierz kombinezonu.

- Za czym wężysz, pętaku? - rzucił niespodziewanie cienkim głosem.

- Vic mu potrzebny. Bonza - zaczęła przymilnie ruda. - Podobnież robotę obiecał...

- Jaki Vic? - przerwał jej krogulec.

- Vic Morgan.

- Ten pajac? Jaka robota? - Krogulec przewiercał Jupe'a zimnym spojrzeniem.

- Ogniste Demony nie są pajacami - wysapał Jupe, mając nogami w powietrzu.

- Nie są - potwierdził krogulec i posadził Jupe'a na stołku. - Tutaj umówił się z tobą? - zapytał podejrzliwie. - Na dziś wieczór?

- Niezupełnie - wymamrotał Jupe. - Zniknął gdzieś. Podobno wy też go szukacie.

Bonza położył mu na karku bochnowate łapsko.

- Spływaj, frajerze - ćwierknął ptasim głosem. - Już. Bo zrobię z ciebie farfocel.

Jupe nie wiedział dokładnie, co to znaczy, lecz nie zależało mu, żeby się dowiedzieć.

Łapa Bonzy ciążyła na karku jak sztanga. Odetchnął, gdy się cofnęła.

Po chwili już go nie było w "Hadesie".

Martin Morgan wpatrywał się w pierwszą stronę "Los Angeles Sun". Patrzył tępo, w bezruchu. Spojówki miał zaczerwienione, oddech płytki.

U dołu strony widniało znowu zdjęcie z nocnej zadymy Ognistych Demonów, zamieszczone w gazecie kilka dni wcześniej. Tym razem grafik wyróżnił jedną z postaci czerwonym kółkiem. Tytuł nad fotografią brzmiał: "Czy to jest Victor Morgan - syn kandydata na senatora? Wyjaśnienie zagadki już wkrótce!"

Twarz w czerwonym kółku była rozmazana, ale Martin Morgan nie miał już tej pewności co przedtem, że to ktoś inny. A jeśli Victor?

Dlaczego zniknął tak nagle i nie odzywa się, nie dzwoni?

Nic nie dzieje się bez powodu. Victor wie świetnie, że w ostatniej fazie kampanii wyborczej kandydat powinien występować w asyście najbliższej rodziny. Takie są tu zwyczaje. A on rozplątał się, ulotnił jak kamfora: czy to nie dowód, że ma brudne sumienie?

Gdyby mój syn był mężczyzną - pomyślał Martin Morgan - spojrzałby mi w oczy i wyznał całą prawdę. Morganom nigdy nie brakowało odwagi. On, Martin Morgan, znajdzie w sobie odwagę, by się wycofać z wyborów, nawet w ostatniej chwili, jeżeli uzna to za

konieczne. Ale konieczność musi zostać udowodniona. Inaczej zawiódłby wyborców, tych wszystkich, którzy liczą na niego, którzy wierzą, że nie dopuści do zniszczenia Błękitnej Doliny.

Musi pomówić z Victorem.

Natychmiast.

A jego nie ma.

Zadzwoił telefon na biurku, sekretarka zameldowała, że ma na linii kilku dziennikarzy, którzy domagają się wywiadu.

- Nie ma mnie - rzucił krótko Morgan.

Po chwili telefon zadzwonił znowu. W słuchawce odezwał się głos Johna Waltersa, prezesa "Stock Industries":

- Jestem wstrząśnięty, Martinie. Mam przed sobą świeży numer...

- Ja też - przerwał mu Morgan. - Victor gdzieś zniknął.

- A więc pośrednio przyznał się do winy - dobiegło ze słuchawki.

- Nie uwierzę, póki z nim nie porozmawiam.

- Niestety, jest gorzej, niż myślisz - powiedział ze smutkiem John Walters. - Jutro w "Los Angeles Sun" ukaże się inne zdjęcie z Nocy Ognistych Demonów. Ostre i powiększone. Ja już je widziałem. Jest na nim Victor. Tym razem bez cienia wątpliwości.

Martin Morgan oderwał słuchawkę od ucha i obejrzał ją, jakby oglądał muzealny eksponat. Potem powoli i apatycznie przyłożył do skroni.

- No to przegram wybory - powiedział cicho do szwagra.

- Nie musisz - rzucił John Walters. - W końcu... jestem bratem twojej żony. Zrobię wszystko, żeby zdjęcie nic ukazało się w druku.

- To już nie zda się na nic - szepnął Martin Morgan i zamknął oczy; trwał w odrętwieniu, nie wiedząc, że do gabinetu wślizgnęła się Angela, że stoi za jego plecami i z niepokojem patrzy na ojca. - To już na nic - powtórzył.

- Przeciwnie - dobiegł go głos Waltersa. - Zdjęcie się nie ukaże i zostaniesz senatorem. Victor się znajdzie, wyjaśnimy wszystko, z pewnością jest to nieporozumienie. Wasz syn nie może być bandytą. Co najwyżej zaplątał się przez młodzieńczą naiwność albo jego wplątano w aferę, aby tobie zaszkodzić. Damy sobie z tym radę, masz moje słowo. Jest tylko jeden warunek.

- Jaki? - spytał Morgan.

- Właściciel "Los Angeles Sun" jest jednym z inwestorów w Błękitnej Dolinie. Wystarczy mu twoja obietnica, że nie przeszkodzisz w budowie elektrowni.

- To nikczemne - powiedział Martin Morgan.

- Zgadzam się - przytaknął John Walters. - Ja jestem tylko pośrednikiem między nim i tobą. Czuję się nie mniej oburzony. Ale nie masz wyboru.

Morgan znowu obejrzał słuchawkę i znów przyłożył ją do skroni.

- Mam wybór - powiedział. - Mimo wszystko ufam Victorowi. Odmawiam.

Ospałym ruchem położył słuchawkę na widelkach i dopiero teraz zauważył obecność córki w gabinecie. Miała okrągłe oczy. Śniade policzki przybrały szarość popiołu.

- Słyszałam całą rozmowę. Widziałam zdjęcie w "Los Angeles Sun". To nie jest Victor...

- Chyba nie jest - zgodził się ojciec. - Ale oni mają inną fotografię. Tym razem na pewno z Victorem. Wuj John ją widział... Dlaczego Victor uciekł z domu? - zapytał z udręką.

Angela otworzyła i zamknęła usta. Przysięgła matce, że nic nie powie ojcu. Dla jego dobra. Dla dobra całej ich rodziny. Ale gdyby go mama teraz zobaczyła...

Nie wolno.

Milczeć też nie wolno.

No to powiedzcie, gdzie ukryto Victora? I że bywał w "Hadesie", melinie Ognistych Demonów, więc musi ich znać, może nie tylko znać, kto wie, w co się wplątał, co mu teraz grozi...

- Zostałem już wcześniej ostrzeżony - usłyszała głos ojca. - Przez mecenasa Jenkinsa. Dostał anonim. Mam się wycofać z wyborów albo gazety zamieszczą zdjęcie Victora w gangsterskim uniformie. Jak widać, nie były to czeże pogróżki.

Angela myślała szybko, tak szybko, jak nigdy dotąd. Nie może złamać przysięgi danej matce. Nie może powiedzieć o myśliwskim domku. Ale nie złamie przysięgi, jeśli poradzi ojcu, by porozmawiał z Trzema Detektywami. Widziała u matki ich wizytówkę. Oni nie przysięgali. Mama im ufa. Ich rozmowa z ojcem będzie mieć sens, coś posunie do przodu. Odpowiedzialność wezmą wtedy na siebie Trzej Detektywi. Angela także o nich słyszała. Podobno są fantastyczni, rozwiązują supły nie do rozplatania.

Objęła ojca za szyję, przytuliła się do niego.

- Zadzwoń do Jupitera Jonesa - usłyszał jej szept. - To jeden z Trzech Detektywów. Musiałeś o nich słyszeć. Oni coś wiedząc Victorze.

W przyczepie było gorąco: Jupe wyłączył klimatyzację, żeby jej szum nie przeszkadzał Bobowi i żeby nie przeciążać linii elektrycznej, ponieważ komputer pracował na pełnych obrotach. Bob czarował przy klawiaturze. Udało mu się przeniknąć do systemu

policyjnego z danymi o przestępczości zorganizowanej, lecz niewiele tam znalazł o Ognistych Demonach. Materiały przejęła specjalna komórka FBI o kryptonimie R-12.

- Tam będzie się trudno dostać - mruknął Bob.

- Próbuj - zachęcił Jupe.

Komórka R-12 miała gęste zasieki zabezpieczeń. Bob pokonał kilka, odnajdując kody oryginalnym sposobem przez siebie opracowanym, ale wciąż jawiły się nowe bramki, coraz bardziej szczelne.

NOD. Jak to rozszyfrować? Nadzwyczajna Ochrona Danych? Numer Otwarcia Dostępu? Może Nowo Otwarte Dochodzenie?

- Nie mogę złamać tego skrótu - westchnął. - Nic nie pasuje.

Pete stanął za jego plecami, popatrzył na monitor, potem na Jupe'a.

- Ja bym spróbował kombinacji najprostszej - powiedział.

- Odkryłeś w sobie talent hakera? - zapytał Bob z uśmiechem.

- Dla mnie NOD to Noc Ognistych Demonów - odparł Pete.

Bob puknął się palcem w czoło. Błyskawicznie wystukał na klawiaturze propozycję Pete'a i w odpowiedzi uzyskał natychmiast: ZAAKCEPTOWANE.

Dlaczego wysoka specjalizacja odciąga od prostoty myślenia?

Monitor wyświetlił skład gangu. Mike Sullivan - herszt, pseudonim "Bonza". Kilkanaście innych nazwisk i pseudonimów. Chuligaństwo, rasistowskie ekscesy - jako przykrywka. Podejrzani o handel narkotykami, przemyt papierosów i alkoholu. Agenci R-12 prowadzą obserwację i działania operacyjne. Dowodów jeszcze nie skompletowano.

- Na liście nie ma Victora Morgana - poinformował Bob. - Nie występuje ani razu w wykazie kontaktów.

- Tak przypuszczałem - powiedział Jupe. - Swojego człowieka Bonza nie nazwałby pajacem. Chyba że...

- Co masz na myśli? - zapytał Pete.

Jupe przestał skubać dolną wargę.

- Głęboką konspirację - odparł. - Victor Morgan byłby dla nich cenny, zwłaszcza jako syn senatora. Są przebiegli. Mogą stosować podwójne maskowanie: puszczać słuch, że jest z nimi, a potem ma się okazać, że nie jest.

- Co ze stu tysiącami dolarów, o których mówiła pani Morgan? - zapytał Bob.

- Jedno nie przeczy drugiemu - powiedział po pauzie Jupe. - Swojego się nie szantażuje. Chociaż, z drugiej strony... - Jupiter znów poskubał wargę, zmarszczył czoło. Swoją swoją, a tatuś niech płaci. Tak też mogłoby być. Musimy zbadać, czy Victor należy do



Demonów i czy faktycznie go szukają.

- Przecież sprawdzałeś - powiedział Pete.

- Ale nie uzyskałem pewności i jestem u nich spalony - odparł Jupe. - Teraz kolej na was. Mam plan...

Nie zdążył jednak wyłożyć swego pomysłu, bo w przyczepie zadzwonił telefon, Jupe odebrał. Słuchał w milczeniu.

- Dobrze, proszę pana - powiedział na zakończenie. - Będę o drugiej. - Odłożył słuchawkę i popatrzył w zadumie na kolegów. - Mamy problem. Martin Morgan poprosił mnie o spotkanie, nie mogłem mu odmówić. Skąd on wie, że mamy jakiś związek ze zniknięciem Victora? Żona nie powiedziała mu na pewno.

- Będziesz miał niezłą gimnastykę - zauważył Bob.

Dżip zatrzymał się nieopodal jeziora. Zachodzące słońce kładło na niebieskawość sosen trochę czerwieni, a lustro wody u stóp urwiska podświetlało gasnącą poźłotą. W głębokim cieniu drzew myśliwski domek wyglądał tajemniczo i mrocznie.

Angela rozejrzała się: w pobliżu nie parkował żaden samochód, nic się nie poruszało, ciszę naruszał tylko świergot ptaków. Skradając się, podeszła do okna, zajrzała przez szybę. Zobaczyła brata leżącego na łóżku z książką w rękach. Poskrobała paznokciem szkło. Victor podniósł głowę i spojrzał w jej kierunku. Nie wyglądał na przestraszonego. Po chwili rozpoznał Angelę i dopiero wtedy się zdziwił.

Wyszedł przed dom.

- Jak tu trafiłaś? - zapytał niechętnie.

- Nie cieszysz się, że mnie widzisz?

- Mam dość tej dziury - mruknął. - Czytam "Solaris" Lema już po raz trzeci. Nie powinnaś była tutaj przyjeżdżać.

Angela objęła brata, pocałowała go w policzek.

- Ojciec jest u kresu sił - powiedziała cicho. - Rozpętała się afera.

- Zrezygnował z kandydowania?

- Nic nie rozumiem z tego wszystkiego. - Angela potrząsnęła jasną czupryną, blond grzywka spadła jej na oczy.

- Nie musisz - rzucił Victor.

- Należysz do Ognistych Demonów? Brałeś udział w ich zadymie? Tylko to mi powiedz, Vic. Do licha, jestem twoją siostrą!

Victor uśmiechnął się leciutko. Zapewne tutejsze powietrze sprawiło, że miał na

policzkach dużo mniej pryszczki.

- Chyba nie wypaplałaś ojcu, gdzie się ukrywam? - zapytał. - Za parę dni wrócę do domu.

- Jutro ukaże się w gazetach nowe zdjęcie z Nocy Ognistych Demonów. Można będzie cię na nim rozpoznać - Angela patrzyła prosto w oczy Victorowi. - Wuj John już widział tę fotografię i twierdzi, że to ty, na sto procent.

Twarz Victora wykrzywił grymas - gniewny i jakby gorzki.

- Nasz kochany wujaszek... - mruknął, odwracając głowę. - Tak bardzo się martwi o naszą rodzinę.

- A ty ją hańbisz. Narozrabiałeś i kryjesz się jak szczur. Masz gdzieś udrękę ojca i to, że przez ciebie przegra wybory.

Victor nie od razu odpowiedział. Ważył słowa.

- Każdy żyje na własny rachunek - odezwał się w końcu. - Nie jestem dzieciakiem, odpowiadam za siebie. Ojciec może się mnie wyprzeć, proszę bardzo. Zmienię nazwisko, jeśli trzeba. Spadaj stąd, siostrzyczko. I nikomu pary z ust, że mnie widziałeś. Bo będzie tragedia.

- Demony cię szukają? - strzebiła. - Naraziłeś im się? Czegoś chcą?

- Spadaj, proszę,

- Jeśli jutro w "Los Angeles Sun" zamieszczą to zdjęcie...

- Nasz ojciec nie musi być senatorem - przerwał jej brat z krzywym uśmiechem. - Niech dalej prowadzi swoją kancelarię adwokacką. Dobrze na tym wyjdzie.

- Jak śmiesz tak mówić o ojcu?! - wykrzyknęła Angela.

Victor już otworzył usta, aby zareplikować, ale powstrzymał się, zacisnął wargi. Widać było, że nie przyszło mu to łatwo. Z twarzy znikł arogancki wyraz, ustępując miejsca goryczy i bezradności.

- Kiedyś zrozumiesz - powiedział cicho. - Musi być, jak jest. I, błagam, ani słowa tacie, że się ze mną widziałeś. Jedź już.

Angela z nisko pochyloną głową ruszyła w stronę samochodu. Wsiadając do dzipa, obejrzała się i zobaczyła nieruchomego Victora, który odprowadzał ją smutnym wzrokiem. Poczula bolesny ucisk w sercu.

## ROZDZIAŁ 4

### AUTENTYK CZY FAŁSZYWKĄ?

Uśmiech na sympatycznej twarzy Martina Morgana tym razem nie wyglądał naturalnie - był raczej uprzejmością wobec gościa, pokrywającą niepokój i wyczerpanie. Kandydat na senatora miał podkrążone oczy i zapadnięte policzki, obciążone szarawą skórą. Wyszedł Jupiterowi na spotkanie, uściskał mu dłoń, wskazał na skórzaną kanapę w rogu gabinetu.

- Będę mówił wprost - odezwał się zmęczonym głosem. - Na moim synu ciąży podejrzenia, że jest związany z gangiem Ognistych Demonów. Jeśli to prawda, wycofam się z wyborów. Ale mój syn zniknął i nie mogę tego wyjaśnić.

Zamilkł, czekając na reakcję Jupe'a.

Jupe, aby wygrać na czasie, chciał zapytać, dlaczego pan Morgan zwraca się z tym do niego, ale uznał, że z tym udręczonym człowiekiem nie należy bawić się w ciuciubabkę. Morgan musiał wiedzieć albo domyślać się, że Trzej Detektywi badają tę sprawę.

- Obawiam się, że wyjaśnienie nie jest proste - powiedział. - Pana syn chyba znał Demonów, bo bywał często w "Hadesie". Jedną z wersji zakłada szantaż. Demony żądają od Victora pieniędzy, pod groźbą, że skompromitują pana. Ponieważ zapłacić ma Victor, nie zrobią żadnego ruchu, póki się z nim nie skontaktują. To może być powód, dla którego pański syn się ukrywa.

- Nie sądzę - Morgan pokręcił głową. - Kampania kompromitacji już się zaczęła. Jutro w "Los Angeles Sun" ma się ukazać zdjęcie Victora jako jednego z Ognistych Demonów, zrobiono je owej słynnej Nocy, podczas pogromu.

- Wątpię, aby na tej fotografii był Victor - powiedział Jupe.

- Ktoś już ją widział i nie ma wątpliwości. Dlatego chciałbym się zobaczyć z Victorem - Martin Morgan wpił się wzrokiem w twarz Jupe'a. - Muszę się z nim zobaczyć, Proszę...

Jupe zmusił się, by zapanować nad odruchem współczucia.

- Najważniejsze w tej chwili to sprawdzić, czy Victor należy do gangu - powiedział łagodnie, jakby tłumaczył coś dziecku. - Jeżeli nie, zdemaskuje pan prowokację. A nam się wydaje, że pański syn nie jest Ognistym Demonem. Sprawdzamy to - Jupe zrobił pauzę. - Od kogo pan się dowiedział, że jutro w "Los Angeles Sun" ukaże się zdjęcie z Victorem?

Teraz zawahał się Martin Morgan. Prawda nie przechodziła mu przez gardło, jednak

uznał w końcu, że musi być szczery z tym chłopcem, jeśli ma liczyć na jego pomoc.

- Zadzwoił do mnie... - urwał, bo do gabinetu zajrzał jego sekretarz, Peter York, z plikiem papierów pod pachą. - Proszę mi teraz nie przeszkadzać - osadził go w progu. - Wezwę cię, gdy będę wolny.

Sekretarz wycofał się z gabinetu. Morgan spojrział na Jupe'a i w jego twarzy zaskoczył go wyraz dziwnego napięcia.

- Kto to był, panie Morgan?

- Mój asystent, Peter York. - Martin Morgan wrócił myślami do rozmowy z Waltersem. - Dziś rano odebrałem od kogoś telefon z propozycją - powiedział. - Fotografia się nie ukáže, jeżeli przyrzeknę dać spokój niszczycielom Błękitnej Doliny. Mam się zgodzić na zbudowanie tam elektrowni jądrowej.

Jupe zabrał się do skubania dolnej wargi. Robił to długo, zapominając, że obok niego siedzi pan Morgan. Już był pewien, gdzie widział sekretarza Morgana. Łamigłówa zaczęła układać się w całość: w skład grupy nacisku na przyszłego senatora, aby przystał na budowę elektrowni w Błękitnej Dolinie, wchodzi jego asystent, a nawet własna żona i syn. York to sportowiec, który kupił w "Hadesie" zdjęcia z zadymy Demonów. Ogniste Demony też mają swój udział w grze przeciwko Morganowi. Kto jeszcze?

- Przypuszczam, że się pan nie zgodził - powiedział do Morgana, przestając skubać wargę.

- Ma się rozumieć - potwierdził Morgan.

Jupe spojrział prosto w oczy panu Morganowi.

- Jestem w kontakcie z pańskim synem - powiedział. - Wszystko z nim w porządku, ale do waszego spotkania na razie nie może dojść. Jeśli ufa pan Trzem Detektywom, muszę wiedzieć, kto do pana zadzwonił z propozycją.

- Wolałbym zachować to w sekrecie - odparł Morgan. - A z Victorem muszę się zobaczyć.

Jupe wstał.

- Jest mało czasu - rzucił sucho. - Tu chodzi o spisek. Albo nam pan zaufa i powie, kto dzwonił, albo umywamy ręce.

Martin Morgan zapatrzył się w panoramiczne okno z widokiem na centrum Los Angeles.

- Chyba nie mam wyjścia - odezwał się po długiej pauzie. - Telefonował brat mojej żony, John Walters, prezes "Stock Industries". Ale on tu jest tylko pośrednikiem...

- Skąd pan wie? - przerwał mu Jupe.

- Tak powiedział.

- W gazetach pisano, że "Stock Industries" to główny udziałowiec inwestycji w Błękitnej Dolinie - przypomniał sobie Jupiter.

- Nie wierzę, że mój szwagier...

- To pańska sprawa - znów przerwał Jupe. - My badamy bez uprzedzeń. Spotkanie z Victorem niczego by panu nie wyjaśniło. Będziemy w kontakcie. - Ruszył do drzwi. Staął. Zawrócił, zbliżył się do Morgana. - Proszę powiedzieć swojemu sekretarzowi, że pan rozważa ofertę Waltersa.

- Co takiego? - zdumiał się Martin Morgan.

- Proszę dać Yorkowi do zrozumienia, że waha się pan. Że gdyby nie ambicja, już by pan do Waltersa zatelefonował. - Jupe patrzył, jak zmienia się twarz Morgana: gniew ustępuje miejsca zaskoczeniu, zdumienie wątpliwościom, domysłom. - Proszę zaufać mi i tak zrobić - powiedział z naciskiem.

Dryblas w czarnej skórze nabitej połączanymi ćwiekami i z kolczykiem w uchu wszedł do "Hadesu" kołysząc się krokiem, zbliżył się do brzuchatego barmana i coś mu powiedział, wsuwając do ręki dwudziestodolarowy banknot. Brzuchacz przyjrzał mu się, potem kiwnął głową, schował banknot, odstawił kufle przygotowane do napełnienia.

Wylazł zza kontuaru i zaczął przeciskać się do okrągłego stołu w rogu sali. Stał za plecami olbrzyma o krogulczej głębie. Pochylił mu się do ucha.

- Taki jeden ma interes do ciebie. Czeka przed knajpą.

- Jaki jeden? - Bonza nawet się nie odwrócił, nie spojrzał na barmana.

- Chodzi o ciężki szmal. Podobno się znacie.

Bonza bez pośpiechu wypił litrowy kufel piwa, dokończył z kumplami rozmowę o jakimś Padalcu, który kręci i trzeba go będzie dopaść, potem leniwie dźwignął się z ławy i ruszył do wyjścia, roztrącając zagradzających mu drogę.

Bob, w takiej samej skórzanej kurtce ze złożonymi ćwiekami, stał o krok za Pete'em. Pete ruszył na spotkanie Bonzie, z wyciągniętą ręką. Bonza jej nie zauważył.

- My się znamy, mały? - zapytał ptasim głosikiem, patrząc na Pete'a z góry: miał ponad dwa metry wzrostu, przewyższał Pete'a o dobre pół głowy; wygolona czaszka rozmiarów dyni świeciła się od kropel potu.

- Już się znamy - powiedział Pete. - Mamy z kumplem towar, którego szukasz. On wziął głupie pięć stów - wskazał na Boba. - Ty dasz więcej.

- Albo dam po ryju - zareplikował Bonza, prężąc nagi biceps z wytatuowanym

wizerunkiem szatana. - Spadać, gnoje.

- Za moment - Pete uśmiechnął się, wzruszył ramionami. - Gość daje pięć setek, żeby go ukryć przed wami, winien ci jest cholerną kasę, ale tobie to zwisa. Sorry za pomyłkę.

Już chciał się odwrócić, gdy łapsko Bonzy spadło mu na kark.

- O jakim gościu nawijasz? Macie Padalca?

- Mamy ścierwo, które nie chce ci zapłacić za tatusia - powiedział Pete. - Synalek Morgana. Będzie zeznawać w sądzie przeciwko wam. O tej waszej zadymie. Ile odpalisz za kapusia?

Bonza chwycił Pete'a za klapy kurtki i niczym piórko uniósł go w powietrze.

- Kto cię napuścił, gadaj!

- Sypnie was - wycharczał Pete. - Wszystko widział...

- Chyba we śnie - ćwierknął drwiąco Bonza i potrząsnął Pete'em, aż zatrzeszczały mu stawy. - Jak bym szukał gnoja, to bym go miał. Z pętakami się nie zadaję.

- Mówi, że należy do Demonów... - Pete już zaczynał się dusić w żelaznym uścisku. - Że jest lepszy od ciebie...

- Vic ma być Demon? - Bonza puścił Pete'a, zaniósł się cienkim chichotem. - Co za palant! Powiedz mu, że jak się pokaże w "Hadesie", zrobię z niego farfocel.

- A zdjęcia od rudej? - wtrącił się Bob. - Jest na nich razem z wami.

Bonza przestał chichotać. Tym razem chwycił za klapy ich obu.

- Nie ze mną takie sztuczki - zasyczał. - Znam paragrafy. Biegle odróżnią fałszywkę od oryginału. Nadając glinom, że numer nie przejdzie. A teraz won.

Na krótką chwilę Pete i Bob zawisli w powietrzu. Potem spadli na ziemię. Gdy się podnieśli. Bonzy już nie było.

Bob sprawdził dyktafon ukryty w kieszeni na piersi: szczęśliwie ocalał, rozmowa się nagrała.

Pan Andrews zaprowadził syna do pokoju dyżurnego redaktora "Los Angeles Sun". Redaktor tonął w kłębowisku gazetowych odbitek, coś kreślił na kolumnach i równocześnie rozmawiał przez telefon.

Zaczekali, aż skończy rozmowę. Potem Andrews przedstawił redaktorowi syna i gdzieś pobiegł.

- Jeden z Trzech Detektywów... Słyszałem o was - redaktor podał Bobowi lewą rękę, prawą, uzbrojoną w ołówek, nadal kreślił na świeżej kolumnie. - W czym mogę pomóc?

- Chciałbym obejrzeć stronę ze zdjęciem Ognistych Demonów - powiedział Bob.

- Tam - redaktor wskazał na niski stolik przywalony odbitkami kolumn. - Materiał idzie dzień później.

- Nie ukaze się jutro?

- Pojutrze. Decyzja szefa.

Bob przejrzał wydruki stron, pokreślone czerwonym mazakiem. Znalazł tę, której szukał, z wielkim tytułem: "Sensacja! Victor Morgan wśród Ognistych Demonów! Syn kandydata na senatora uczestniczy w pogromie! CZY ODDASZ GŁOS NA OJCA GANGSTERA?"

Na fotografii, bardzo ostrej i w dużym zbliżeniu, widać było Victora kopiącego skuloną na ziemi kobietę. Twarze pozostałych trzech Demonów były mniej czytelne. Victor miał na sobie kurtkę z wizerunkiem diabła. Kopał z zjadłością. Na dalszym planie płonął sklep, uciekali przerażeni ludzie.

- Kto przygotował to zdjęcie do druku? - zapytał Bob.

- Nasze fotolaboratorium. - Dyżurny redaktor zerknął na kolumnę podsunietą mu przez Boba, na inicjały Z. S. pod reprodukcją. - To Zbig Saff.

- Chciałbym zamienić z nim parę słów.

Dyżurny gdzieś zatelefonował.

- Jedenaste piętro, pokój 1108. Zbig czeka na ciebie.

Laborant, mały człowieczek w białym kitlu, zerknął na gazetową płachtę przyniesioną przez Boba.

- Miałem z tym trochę zawracania głowy - powiedział. - Prosiłem o kliszę, ale nie było, tylko odbitka. Zdjęcie trudniej obrobić.

- Mógłbym zobaczyć to zdjęcie? - poprosił Bob.

Laborant poszperał w szufladzie i dał mu fotografię z przyklejonym do niej paskiem papieru, na którym widniały jakieś cyfry i symbole. Bob przyjrzał jej się z uwagą.

- Ciekawe - zauważył. - Jedna twarz jest wyraźna, a trzy pozostałe rozmazane. Przecież to ta sama odległość od obiektywu.

Człowieczek zerknął na zdjęcie.

- Fakt - przytaknął. - Tamci są poruszeni. Ale chodzi przecież o tego. Pewnie stał nieruchomo, kiedy błysnął flesz.

- Niezupełnie - powiedział Bob. - Twarz czytelna, reszta zamazana. Kiedy człowiek się rusza, głowa nie może stać w miejscu.

Laborant jeszcze raz popatrzył na fotografię i roześmiał się.

- Coś w tym jest, chłopcze, ale nie moja sprawa. To amatorskie zdjęcie. A ja nie

jestem fotoreporterem, tylko technikiem.

- Czy mógłbym zatrzymać tę fotkę? - zapytał Bob.

- Tak. - Laborant spojrział na pasek papieru z symbolami, przyklejony do zdjęcia, i szybko poprawił się: - Nie. Oryginał do zwrotu.

Trudno, pomyślał Bob, ale mam przecież gazetową odbitkę. Na niej też widać, że korpus się rusza, a głowa stoi.

Czekanie Jupe'a nie było daremne. Dochodziła dziewiąta wieczór, kiedy zobaczył rudą wampirzycę zmierzającą w stronę "Hadesu". Zagroził jej drogę. Ulica była pusta, zmierzch mglisty, kule latarni spowijał żółtawy opar.

- Cześć. - Jupe miał na sobie ten sam co wtedy drelichowy kombinezon. - Poznajesz? Kupiłem od ciebie pamiątkową fotkę z zadymy Ognistych.

Ruda obrzuciła go obojętnym wzrokiem.

- Reklamacji nie przyjmuję - mruknęła.

- Żadnych reklamacji - zapewnił Jupe. - Na odwrót. Chciałbym do albumu wszystkie fotki, które wtedy napstrykałaś. Mam forszę.

- Ale ja nie mam już odbitek - rzuciła wampirzyca i chciała iść dalej.

Jupe przytrzymał ją za łokieć.

- Mogą być klisze - powiedział. - Film chyba ci został. Jak się jest kolekcjonerem, człowiek chce mieć komplet.

- Film?... - Ruda zmarszczyła purpurowe, narysowane tuszem brwi. - Jeśli nie wyrzuciłam... Zdaje się, że był w torbie. Wywalam śmieci.

- Sprawdź - poprosił Jupiter. - Odpaliłbym ci stówę.

Ruda stanęła pod latarnią i rozpoczęła szperanie w brezentowej przepaścistej torbie, pełnej jakichś babskich rupieci - spinek, szminek, flakoników, papierowych chusteczek. Film w plastikowej tubce znalazła dopiero na samym dnie, pod pękiem kluczy, wśród tytoniowych okruchów.

- Ile, mówiłeś?

- Stówka.

- No to dasz dwie stowy.

Jupe dla porządku spróbował się potargować, lecz wampirzyca nie ustąpiła, więc zapłacił jej dwieście dolarów, sprawdzwszy w świetle latarni, czy są to zdjęcia z Nocy Ognistych Demonów. W hondzie sprawdził to jeszcze raz i odsapnął z satysfakcją.



Peter York nawet nie przeczuwał, że jest obserwowany. Zatrzymał dodge'a przed jakimś pubem w bocznej uliczce i wszedł do środka. Sportowa honda stanęła kilka metrów dalej. Pete także wszedł do pubu. Usiadł przy barze na wysokim stołku, plecami do Yorka. Zamówił imbirowe piwo.

York na kogoś czekał. Raz po raz popatrywał na zegarek. W końcu doczekał się: dał znak ręką nieogolonemu młodzieńcowi w kowbojskiej zamszowej kurtce z frędzlami, z aparatem fotograficznym zawieszonym na szyi, który stanął w progu, rozglądając się dookoła. Młodzieniec przysiadł się do Yorka, założył nogę na nogę.

- Polish vodka, "Wyborowa" - powiedział do barmanki. - Podwójna, z lodem, na koszt tego pana.

- O co chodzi, Spine? - usłyszał Pete ściszony głos Yorka. - Miałeś do mnie nie dzwonić.

Spine pokazał w uśmiechu spróchniałe zęby. Dwóch przednich brakowało.

- Sorry, szefie - powiedział, wypijając duszkiem podany przez barmankę trunek i prosząc o następny. - Nie dokończyliśmy interesu.

- Dostałeś wszystko - syknął asystent Morgana.

- Za robotę - zgodził się Spine. - A język za zębami?

- Zapłaciłem.

- Mało. Nie wiedziałem, że wmontowanie bużki to taka bomba. Za podłożenie bomby ulubieńcowi Kalifornii trzeba dać więcej.

- Dałem, ile chciałeś - mruknął York.

- Czytam gazety - powiedział Spine. - Byłem głupi, ale już nie jestem. M.M. odpaliłby fortunę za moją historyjkę z fotką. Spokojnie, panie York. Nie jestem świnią. Za dziesięć tysięcy bagsów nie puszczam pary z gęby nawet na torturach.

Dyktafon w kieszeni Pete'a zarejestrował ciche przekleństwo Petera Yorka i to, jak gniewnie wystukuje palcami rytm po blacie kontuaru. Potem York sięgnął po książeczkę czekową i wypisał sumę.

- Odtąd się nie znamy - dotarł do Pete'a syczący szept.

- Spokojnie, szefie. Ma pan do czynienia z człowiekiem interesu - zapewnił Spine. - Żegnam na zawsze.

Opuścił bar chwiejnym krokiem, oszołomiony z lekka trzema szklaneczkami "Wyborowej". Po chwili Pete ruszył za nim. Zobaczył, jak Spine wsiada do różowego garbusa z girlandami stokrotek.

Honda podążyła w ślad za volkswagenem i towarzyszyła mu, aż stanął przed

obdrapaną kamienicą w dzielnicy slumsów. Spine, pogwizdując, zniknął za drzwiami sutereny, ozdobionymi tabliczką:

PRACOWNIA FOTOGRAFICZNA \* Portrety \* Fotomontaże \* Obsługa imprez rodzinnych Tom D. Spine:

PRACOWNIA FOTOGRAFICZNA  
\* Portrety \* Fotomontaże \* Obsługa imprez rodzinnych  
**Tom D. Spine**

## ROZDZIAŁ 5

### KTO NAPISAŁ ANONIM?

Martin Morgan wrócił do domu późnym wieczorem, zmęczony morderczą serią spotkań wyborczych. Żona pomogła mu zdjąć marynarkę i kazała przynajmniej na kwadrans położyć się na otomanie w saloniku. Sama usiadła obok. Wyglądała na zatroskaną, z trudem kryła zdenerwowanie.

- Jak było na wiecach? - zapytała.

- Ludzie nie wierzą we wczorajszą sensację z "Los Angeles Sun" - odparł Morgan, leżąc na wznak, z przymkniętymi oczami. - Zwłaszcza że dziś nie ma o tym ani słowa. Pytano mnie o Victora. Zapewniłem, że to brednie, mój syn nie ma nic wspólnego z Ognistymi Demonami.

- Oby tak było, Martinie... - westchnęła pani Morgan.

- Wątpisz?

- Boję się. O niego i o ciebie.

- Gdyby mieli jakiś dowód przeciwko Victorowi, ukazałby się w dzisiejszym "Los Angeles Sun" - powiedział Martin Morgan. - Kaczka dziennikarska. Będą musieli mnie przeprosić.

- Oby tak było - powtórzyła z westchnieniem Sybil, dziwiąc się w duchu, że mąż nie pyta, czy Victor odezwał się, czy dzwonił.

Widocznie zamknął się w sobie i nie chce o tym mówić.

- Na każdym spotkaniu pytano mnie o Błękitną Dolinę - usłyszała. - Domagano się przyrzeczenia, że jako senator nie dopuszczę do dewastacji tego rajskiego zakątka. Zapewniłem ludzi, że mogą być o to spokojni.

Nie zauważył lęku w oczach Sybil. Wciąż miał przymknięte powieki.

Do saloniku wszedł służący.

- Telefon do pana - poinformował. - Odłożyłem słuchawkę w gabinecie.

- Przynieś tutaj aparat - poleciła Sybil.

- Nie trzeba. - Morgan podniósł się ze skórzanej otomany.

- Porozmawiam u siebie.

Przeszedł do gabinetu.

Miał niejasne przeczucie, że wie, kto do niego dzwoni o tak późnej porze. Nim wziął słuchawkę, wcisnął klawisz nagrywania.

- Jak się masz, Martin. - Poznał jowialny głos Johna Waltersa. - Zdaje się, że miałeś dzisiaj gorący dzień, osiem spotkań z wyborcami.

- Aż dziewięć - skorygował Morgan.

- Na pewno wszystkie udane - Walters zaśmiał się ciepło.

- I bez gorzkiej niespodzianki w "Los Angeles Sun". Zapewniłem właściciela gazety, że dojdziemy do porozumienia.

- Na jakiej podstawie, John? - zapytał Martin Morgan.

- Znam cię dobrze, jesteś rozważnym człowiekiem. - Głos Waltersa stał się jeszcze cieplejszy. - Z pewnością wahałeś się, ale zwyciężył rozsądek. Tylko ta duma, co? Honor ci nie pozwalał do mnie zatelefonować. Rozumiem, rozumiem... - Pogłos dobrotliwego śmiechu. - Jak nie góra do Mahometa, to Mahomet do góry. No więc ja dzwonię. Aby usłyszeć, że przemyślałeś propozycję i przyjmujesz warunki.

- A jeśli się mylisz? - zapytał Morgan z bijącym sercem.

- Mam podstawę, żeby sądzić, że nie jestem w błędzie. Skończmy tę komedię, Martin. Morgan głęboko zaczerpnął powietrza. Trochę kręciło mu się w głowie.

- Skończmy - powiedział. - Ta podstawa to mój sekretarz, Peter York?

W słuchawce zapanowała cisza, jakby przerwano połączenie. John Walters odezwał się dopiero po paru chwilach i w jego głosie nie było już cienia przyjaznej jowialności.

- Ich cierpliwość się wyczerpuje. Dali ci trochę więcej czasu, bo zapewniłem, że nie jesteś głupcem. Ale pojutrze cała Kalifornia zobaczy na pierwszej stronie "Los Angeles Sun" zbira kopiącego kobietę. Ten zbir to Victor. W uniformie Ognistych Demonów. I to będzie twój żaloszny koniec.

Morgan odłożył słuchawkę. Po chwili, mimo późnej pory, nakręcił czyjś numer i nagrał się krótko na automatyczną sekretarkę.

Wrócił do saloniku. Sybil czekała na niego. Zaskoczył ją wyraz twarzy męża: rozpacz czy rozbawienie? Niby uśmiechał się, ale nie do końca. W jego oczach dostrzegła błyski, jakich nie znała.

- Kto dzwonił? - rzuciła niecierpliwie.

- Na kilkaset spraw sądowych, w których występowałem jako obrońca, przegrałem tylko cztery - powiedział z dziwnym uśmiechem Morgan. - I wiesz co? Odczuwałem niedosyt porażek. Żeby czuć grunt pod nogami, trzeba od czasu do czasu obrywać po nosie. Wtedy przestaje się bujać w obłokach.

- Co to za wywód, Martin?

- Za trzy dni stanę do wyborów i przegram je - rzucił wesoło kandydat na senatora.

-Jest zwyczaj dziękowania współtwórcom sukcesu. A współtwórcom klęski? Mam już prawie gotową listę.

Sybil Morgan zbladła. Do głowy przysła jej straszna myśl.

Ale nie.

To niemożliwe.

- Jeszcze możesz zrezygnować z kandydowania - powiedziała cicho. - Było nam dobrze, nie musi być lepiej. Brzydę się polityką. Jesteś wspaniałym adwokatem i masz rodzinę, która cię kocha.

- O, tak, na pewno! - potwierdził z entuzjazmem mąż.

Panią Morgan zaniepokoił ten ton entuzjazmu.

- Jeśli chodzi o Victora, mogę przysiąc, że jest niewinny - oświadczyła kategorycznie.

- Znam go lepiej niż ty. Bywa lekkomyślny, jak każdy chłopiec w jego wieku, ale...

- Przestań - poprosił Morgan.

- Oddałby życie za ciebie - dokończyła.

- A twój brat wprost mnie uwielbia - powiedział Martin Morgan. - Otóż zrobię wam niespodziankę i mimo wszystko stanę do wyborów.

- Nie! - wyrwało się Sybil.

Mąż popatrzył na nią uważnie.

- Nie poddam się - powiedział cicho. - Wbrew twoim radom, kochanie. Wbrew sugestiom Jenkinsa. I wbrew naciskom twojego brata.

Wyszedł z pokoju, nie czekając na reakcję żony.

W kwaterze Trzech Detektywów do późnej nocy trwała narada i unosił się rozpuśnięty upojny zapach zapiekanki SADKO, która straciła prawo do swojej nazwy, bo nie było w niej ani SAłaty, ani Dyni, ani Kalafiora. Zdenerwowany Jupe poszedł na całość i postawił wszystko na "Oraz": napełnił naczynie plasterkami wędzonej polędwicy, przełożył szynką i bekonem, sygnął garść czarnych oliwek, nie pożałował czosnku i cebuli. Zalał to zawieszoną śmietaną i z zimną determinacją wbił sześć jajek, przykrywając całość grubą warstwą ementalera.

Reszta dokonała się w mikrofalówce.

Pete i Bob patrzyli w osłupieniu, jak Jupiter nakłada sobie na talerz górę przyrumienionej rozkoszy i jak pożera ją bez pośpiechu, zakąszając bagietką z masłem.

- Na co czekacie? - usłyszeli. - Za chwilę gar będzie pusty.

- A twoja dieta? - zapytał nieśmiało Bob.

- Chcę być gruby jak beczka i z mięśniami jak banie - warknął Jupe, pałaszując przysmak. - Wtedy pójdę do "Hadesu", wezmę Bonzę za frak i przerobię na farfocla.

- Od żarcia nie rosną mięśnie - zauważył Pete, najbardziej z nich wysportowany, uprawiający karate i jogging, nie licząc trzech kwadransów ostrej gimnastyki porannej z hantlami i sztangą.

- No to nie jedz - mruknął pod nosem Jupiter.

Od aromatu zapiekanki kręciło w nosie, więc Pete i Bob otrząsnęli się z osłupienia i natarli na resztki, wyskrobując z garnka ostatnie łyżki rarytasu.

- Mógłbyś zostać wielkim kuchmistrem - wymamrotał Bob z pełnymi ustami. - Masz nieprzeciętny talent.

- Nie mam żadnego talentu - rzucił ponuro Jupe, wycierając wargi chusteczką. - A już na pewno talentu detektywa. Trzymam w garści fakty i nic nie rozumiem. Gdzie klucz do sprawy Morgana? Przed kim ukrywamy jego syna? Co ma Victor wspólnego z Demonami?

- Chyba nic - powiedział Pete, przelękając ostatni kęs zapiekankowej rozkoszy.

- Kibic amator - dorzucił Bob. - Pewnie stawiał im piwo, a oni łaskawie pozwalali.

Jupiter z żalem odsunął pusty talerz.

- Podsumujmy aferę - powiedział. - Nie jest prawdą, że Ogniste Demony szukają Victora. Nie jest prawdą, że mają coś na niego i żądają stu tysięcy dolarów.

- To raczej synek ma ochotę na pieniądze rodziców - wtrącił Pete.

Jupe chyba nie dosłyszał. Był pochłonięty konstruowaniem ciągu myślowego.

- Jest prawdą, że ktoś próbuje skompromitować Martina Morgana - ciągnął. - Nie dziwiłbym się, gdyby był w to zamieszany jego kontrkandydat, ale żaden ślad nie prowadzi w tym kierunku. Gdyby postawić sprawę na głowie, można by sądzić, że przeciwko Morganowi są jego najbliżsi.

- Może stoi na głowie? - wyraził przypuszczenie Bob.

- Życie to nie cyrk - powiedział sentencjonalnie Jupiter. - Każdy skutek ma swoją przyczynę i od tego my jesteśmy. Zbieramy fakty. Myślimy. Układamy z klocków łamigłówkę i otrzymujemy odpowiedź, jeśli żadnego klocka nie brakuje albo nie jest ich za dużo.

- Brakuje? - zapytał Pete.

- Czy za dużo? - spytał Bob.

- Jedno i drugie - odparł Jupe. - Dlatego nam nie wychodzi. - Wziął do ręki gazetową odbitkę ze zdjęciem z zadymy, mającym ukazać się w "Los Angeles Sun". - To jest fotomontaż. Prawdopodobnie ma z tym coś wspólnego sekretarz Morgana. Na pewno nie

działał na zlecenie szefa. Na czyje i dlaczego? - Jupe zrobił pauzę, poskubał dolną wargę. - Pani Morgan oddała nam pod ochronę swego syna. Dlaczego? Victor nie chce spotkać się z ojcem, a z nami nie jest szczery. Nie wygląda na to, żeby się bał Ognistych Demonów. W takim razie, przed kim się ukrywa? - Jupe znów zrobił pauzę. - Victor to ten klocek, o który jest za dużo.

- A o jakie za mało? - odezwał się Pete.

- Brak mi klocka pod tytułem "Sto tysięcy dolarów" - powiedział Jupe. - Victor okłamał matkę, matka nas, czy ktoś ich oboje? Przydałby się klocek "Noc Ognistych Demonów": dlaczego nie dobrano im się do skóry? Szukam klocka "Zleceniodawca Yorka": nie możemy wykluczyć, że Martin Morgan oczernia sam siebie.

- Po co? - zapytał Bob.

- Żeby w ostatniej chwili wyjść na bohatera, obalając potwarz.

Pete i Bob spojrzeli na Jupe'a, zaskoczeni. Potem spojrzeli po sobie.

- Bingo! - wykrzyknął Pete. - Ty masz łeb!

- Wątpię - Jupe westchnął. - Jakoś nie mogę się zgodzić z samym sobą. Ale rano będę wiedział. Być może. Mam pilne wezwanie od Morgana. A wy dwaj tymczasem...

Przeszedł na szept. Bob i Pete słuchali z uwagą.

Dwie ubrane na czarno postacie wysiadły ze sportowego samochodu nieopodal pracowni fotograficznej Toma D. Spine'a. Był środek nocy, na ulicy pustka, z latarni sączyło się przymglone żółte światło.

Jedna z postaci wyjęła z kieszeni jakiś płaski przedmiot i podłubała w zamku. Drzwi pracowni ustąpiły. Dwaj czarni wślizgnęli się do małego pomieszczenia pachnącego chemikaliami, z setkami zdjęć rozwieszonych na ścianach. Punktowe światełka latarek wyłowiły z mroku kotarę, za nią drzwiczki.

W ciemni fotograficznej paliła się czerwona lampka, na sznurkach suszyły się klisze. Wąski metalowy stół był zavalony odbitkami. Na drugim, mniejszym, stał powiększalnik i dwie kuwety z odczynnikami.

Przybysze zabrali się do przeglądania fotografii. Były to obrazki ze ślubów, pogrzebów, uczt weselnych, pikników na trawie, różnych imprez towarzyskich. Od czasu do czasu trafiały się fotki panienek w negliżu, pozujących samotnie lub w asyście panów.

- U mnie nic - szepnął Pete.

- Ani u mnie - szepnął Bob i rozejrzał się po ciemni, pomagając sobie latarką. - Jupe będzie zawiedziony.

- Poświęć mi tutaj - Pete wskazał na kosz pełen fotograficznych odpadów.

Wysypał śmieci na betonową podłogę. Uklęknął. Oglądał strzępki zdjęć i po kolei wrzucał z powrotem do kosza. Kiedy już kończył przegląd, świetlny punkt latarki zatrzymał się na próbnej odbitce z klatkami kilkunastu ujęć.

Pete skinął na Boba.

Próbki przedstawiały scenę kopania kobiety przez grupkę Ognistych. Na pierwszej zbir stojący pośrodku miał twarz tak samo niewyraźną jak pozostali. Na drugiej zamiast twarzy widniała biała plama. Na trzeciej w miejsce plamy pojawiło się oblicze - nieproporcjonalnie duże w stosunku do postaci. Na kolejnych próbkach twarz zmniejszała się i była coraz bardziej czytelna.

- Poznajesz? - zapytał szeptem Pete.

Bob skinął twierdząco. Wziął od Boba odbitkę i schował ją do kieszeni na piersiach czarnego kombinezonu.

Ruszyli do wyjścia. Kiedy znaleźli się przy drzwiach, dobiegł ich z zewnątrz jakiś łomot, bełkotliwe przekleństwo.

Zamarli.

Ktoś stał pod drzwiami po zewnętrznej stronie.

Czekał tam na nich?

- Jeśli to Spine, dam mu radę... - wymówił Pete samymi wargami.

- Może być z kimś... - bezdźwięcznie odpowiedział Bob.

Znow przekleństwo. Stęknienie. Potem oddalające się kroki.

Pete ciut uchylił drzwi i wyjrzał przez szparkę.

Środkiem jezdni odpyływał podpity obdartus, balansując rozkrzyżowanymi ramionami. Zastopował przy hondzie. W dzielnicy slumsów sportowy wóz był raczej rzadkim zjawiskiem. Kiedy dotknął klamki, Pete uświadomił sobie, że drzwiczki zostawił otwarte, a kluczyki w stacyjce - na wszelki wypadek, gdyby trzeba było szybko stąd zmiatać. Już szykował się do sprintu, ale pijaczek widocznie się rozmyślił. Zostawił klamkę w spokoju i pozęgłował dalej, od czasu do czasu śląc w kierunku księżycy jakieś kwieciste przekleństwo.

W biurze Martina Morgana, zalanym porannym słońcem, nie było jeszcze personelu. Gospodarz miał szarawą wymęczoną twarz, zaczerwienione spojówki i worki pod oczami. W milczeniu i bez uśmiechu wskazał Jupiterowi miejsce na skórzanej kanapie.

Potem włączył magnetofon.

“...więc ja dzwonię. Aby usłyszeć, że przemyślałeś propozycję i przyjmujesz warunki.



- A jeśli się mylisz? - zabrzmiał głos Morgana.

- Mam podstawę, żeby sądzić, że nie jestem w błędzie. Skończmy tę komedię, Martin.

- Skończmy. Ta podstawa to mój sekretarz, Peter York?”

I długa chwila ciszy.

“...pojutrze cała Kalifornia zobaczy na pierwszej stronie “Los Angeles Sun” zbira kąpiącego kobietę. Ten zbir to Victor. W uniformie Ognistych Demonów. I to będzie twój żaloszny koniec...”

Martin Morgan zatrzymał taśmę.

- Zrobiłem tak, jak mi poradziłeś - powiedział Morgan matowym, sennym głosem. - Wygadałem się przed Yorkiem, że mam wahania, tylko wstyd mi zadzwonić i przyznać się. Wieczorem był ten telefon.

- Od Johna Waltersa?

- Tak - potwierdził Morgan. - Ale nic z tym nie zrobię. Nie mogę zadenuncjować przed władzami brata własnej żony.

Jupe skubnął dolną wargę. Skubnął ją po raz drugi i trzeci, zapominając, że siedzi naprzeciw kandydata na senatora i że nie wypada w taki sposób demonstrować zadumy.

- Petera Yorka zwolnię natychmiast- usłyszał.

- Proszę tego nie robić. - Jupe oprzytomniał, dał spokój wardze. - Niech gra toczy się dalej. - Zrobił pauzę, spojrzął w oczy Morganowi. - Jak pan myśli, dlaczego nie aresztuje się Ognistych Demonów?

- Pytałem o to komendanta policji w Los Angeles - powiedział Morgan. - Nie ma przeciwko nim dowodów. Ofiary są zastraszone i boją się zeznawać, a na amatorskich zdjęciach nie można rozpoznać twarzy. Policja ma kilka tych zdjęć. Obrońca herszta gangu zakwestionował ich autentyczność. Twierdzi, że takie stroje nosi wielu skinheadów, a twarze są zamazane.

- Z wyjątkiem twarzy pańskiego syna - uśmiechnął się Jupe. - Dziwny zbieg okoliczności, nie sądzi pan? Prawdziwy cud fotograficzny.

- Może i cud, ale taka fotografia istnieje - rzucił pośępnie Morgan. - Rozmawiałem z redaktorem “Los Angeles Sun”. Zapewnił, że redakcja nie robi montażu, za które idzie się do więzienia.

- Redakcja nie robi - zgodził się Jupe.

Morgan wstał, przespacerował się po gabinecie, stanął twarzą do panoramicznego okna, za którym roztaczał się widok Los Angeles, pełen wesołych złocistości prześwietlających trochę przymglony błękit.

- Słyszę z różnych stron, że w tej sytuacji powinienem zrezygnować z kandydowania do senatu - powiedział, patrząc przed siebie. - Słyszę to nawet od własnej żony. Ale postanowiłem nieodwołalnie, że nie poddam się bez walki.

- Ja też bym tak postąpił - powiedział cicho Jupe.

- Trudno jest walczyć w samotności, chłopcze.

Jupe pomyślał, chyba po raz pierwszy, że jest szczęściarzem: mając Pete'a i Boba nigdy nie czuł się osamotniony, także w najcięższych chwilach. Oni chyba czują podobnie. Partnerstwo poparte przyjaźnią daje poczucie bezpieczeństwa. Przyjaciel nie zawiedzie. Dlaczego człowiek tak sympatyczny, uczciwy i mądry jak Martin Morgan nie ma wiernych przyjaciół? Pewnie tak już być musi w polityce. W karierze: gdy jeden wybija się ponad innych. W wielkim biznesie, gdzie nie ma litości, a sentymenty to przesąd.

Czy Martin Morgan jest odmieńcem? A może... Może jest jakiś sens w hipotezie, że sam to wszystko namotał, aby w finale błysnąć?

- Jak pan się dowiedział, że Victor należy do Ognistych Demonów? Że czeka pana kompromitacja, jeśli nie wycofa pan swojej kandydatury?

- Mój doradca otrzymał anonim - odparł Morgan po pauzie, wciąż patrząc przez szybę na miasto opatulone słonecznym blaskiem. - To był pierwszy sygnał. Później miałem telefon od Waltersa...

- Jaki anonim? - Jupe aż uniósł się na kanapie. - Nic pan o tym nie mówił.

- To była przygrywka, żeby mnie rozmiękczyć. Taki strzał ostrzegawczy. Później Walters...

- Chciałbym zobaczyć ten anonim - znów przerwał mu Jupe.

- Chyba mam go tutaj. - Morgan podszedł do biurka, wysunął szufladę. - Wziąłem od doradcy ten list, żeby pokazać żonie, ale zmieniłem zdanie, nie chciałem jej przestraszyć. Znalazł zadrukowaną kartkę. Podał ją Jupiterowi. Jupe czytał anonim kilka razy, z coraz większą uwagą.

- Tego nie napisał Walters - odezwał się wreszcie. - I nikt w jego imieniu.

- Skąd ta pewność? - Uśmiech na twarzy Morgana był smutny i podszyty niedowierzaniem. - Miałeś rację, że to spisek. List był początkiem kampanii...

- Nie zgadzam się - powiedział stanowczo Jupiter.

Martin Morgan otworzył szeroko oczy. Czekał na wyjaśnienia. Ale Jupe niczego nie wyjaśnił, poprosił tylko, by Morgan pozwolił mu zatrzymać list.

## ROZDZIAŁ 6

### ZASADZKA

Victor nie usłyszał warkotu silnika. Był pochłonięty zmaganiem z olbrzymim pstrągiem, który szarpał się na nylonowej uwięzi, wyginając w pałąk wędkę, wyskakując ponad lustro wody i z impetem uciekając w głąb. Najwyraźniej zamierzał umknąć w przybrzeżne szuwary, jakby wiedział, że tam żyłka zapłacie się i zerwie, zwracając mu wolność. Victor nie chciał do tego dopuścić. Zwalniał żyłkę, kiedy jej napięcie rosło do granic wytrzymałości, pozwalał rybie umknąć w głębinę i ostrożnie podkręcał kołowrotek, nie dopuszczając pstrąga do trzciny. Po każdej rundzie pojedynku ryba była coraz bliżej przybrzeżnej płycizny, a jej siły wyczerpywały się, energia słabła.

W końcu Victor doholował pstrąga pod sam brzeg. Skrócił żyłkę. Wszedł do wody po kolana i zgarnął rybę podbierakiem.

- Bravo! - usłyszał za plecami.

Odwrócił się. Zobaczył Jupe'a i Boba. Jego twarz, rozpalona chłopięcą emocją, dziecinnie uszczęśliwiona zwycięstwem, przybrała zwykły arogancki wyraz.

- Znów tu jesteście - warknął. - Mielicie nie zawracać mi głowy.

- Piękny pstrąg! - zachwycił się Jupe. - Dobre dwa kilo. Jak żyję, nie złowiłem takiego olbrzyma.

- Pojutrze zabieracie mnie do domu - rzucił Victor. - Do tego czasu chcę mieć święty spokój. Taka była umowa.

Jupe popatrzył znacząco na Boba. Bob westchnął.

- Powiemy mu? - zapytał Jupitera.

- Chyba musimy...

- Jeśli chcecie mi powiedzieć, że mój stary wycofał kandydaturę... - zaczął Victor z ironicznym uśmiechem.

- Nie wycofał się - przerwał mu Bob. - Pachnie to tragedią.

- Twój ojciec, mimo wszystko, postanowił stanąć do wyborów - dorzucił Jupe. - Tuż przed głosowaniem, w "Los Angeles Sun" ukaże się twoje zdjęcie z Nocy Ognistych Demonów. Jesteś na nim jak żywy, kopiesz leżącą kobietę. Gdy ludzie to zobaczą, pan Morgan dostanie zero głosów.

- To niech się wycofa - mruknął obojętnie Victor.

- My z inną sprawą - powiedział Bob. - Bonza chce cię natychmiast widzieć.

- Kłam dalej - zachęcił Victor. - Ty to od niego usłyszałeś na własne uszy?

- Jest gorzej, niż myślisz - odezwał się Jupe, pochylony nad podbierakiem: pstrąg jeszcze się w nim miotał, lecz coraz ospalej. - Demony chyba znają twoją kryjówkę. Powinniśmy cię stąd zabrać.

- Nie trzeba. Już się przyzwyczaiłem. W tym bajorze jest od cholery ryb.

- Bonza lada moment może tutaj być - ostrzegł Bob. - Nie odpuści stu tysięcy dolarów. Kazał ci to powtórzyć. Jeśli nie zameldujesz się u niego dobrowolnie, cena wzrośnie do dwustu tysięcy.

- Kupa szmalu - uśmiechnął się drwiąco Victor.

- Napomknął o twojej siostrzyczce - zaimprovizował Bob, zerknąwszy na Jupe'a. - Mogą jej zrobić kuku.

Victor nie wyglądał na przestraszonego. Nawet nie okazał niepokoju.

- Nawijaj dalej - powiedział. - Czym jeszcze grozi?

Jupe dał jakiś znak Bobowi. Bob oddalił się wolno w kierunku hondy zaparkowanej przed domkiem myśliwskim.

- Porozmawiajmy szczerze - zaproponował Jupiter. - Wiemy, że nie boisz się Ognistych Demonów.

- Nie jestem aż taki strachliwy - rzucił wyzywającym tonem Victor.

- Bo nie masz czego się bać - powiedział Jupe. - Oni prawie cię nie znają. Bywałeś w "Hadesie" jako jeden z ich licznych fanów. Pewnie stawiałeś im kolejki, żeby się przypodobać. Mam rację, Vic?

- Spłyn - mruknął Victor. - Rób to, do czego cię wynajęto, i pilnuj własnego nosa.

- Spokojnie, Vic - Jupiter z rozmysłem używał skrótu imienia, pod którym znano Victora w "Hadesie". - Nikt nie żąda od ciebie stu tysięcy dolarów. Ogniste Demony w ogóle się tobą nie interesują. Wiemy to na bank.

- Nie wasz interes.

- Twojemu ojcu próbuje zaszkodzić zupełnie kto inny - odezwał się Jupe. - Założę się, że wiesz, o kogo chodzi.

- Nie przyjmuję zakładów.

Jupe zbliżył się do Victora i spojrzał mu prosto w oczy.

- Pan Morgan nie ugiął się i stanie do wyborów. Mam co do tego absolutną pewność. W "Los Angeles Sun" może się ukazać sfałszowane zdjęcie z twoją podobizną. Nim fałszerstwo wyjdzie na jaw, będzie po wyborach. Jeszcze jest czas, żebyś zapobiegł katastrofie.

- Ojciec się wycofa - mruknął Victor.

- To wykluczone - rzucił stanowczo Jupe. - Chcę tylko wiedzieć jedno. Czy ty i twoja matka działacie za namową Waltersa.

Victor nie musiał odpowiedzieć. Na nazwisko wuja bezwiednie zareagował grymasem goryczy.

- Nic ci nie powiem - odezwał się po chwili.

- Jak chcesz - powiedział Jupe.

Pete wszedł do pracowni fotograficznej i stanął przy ladzie. Po paru chwilach zza kotary wyłonił się Tom Spine w szarym fartuchu poplamionym chemikaliami.

- Czym mogę służyć? - zapytał.

- Chciałbym zamówić fotomontaż - powiedział Pete. - Jako prezent dla matki na urodziny.

Pokazał Spine'owi dwa zdjęcia. Pierwsze było fotografią rodzinną: kobieta, mężczyzna i kilkoro dzieci pod choinką obwieszoną bombkami. Drugie, portretowe, przedstawiało pana z wąsami.

- To jest mój ojciec - wyjaśnił Pete. - Zginął trzy lata temu w wypadku lotniczym. A na zdjęciu rodzinnym obok mamy stoi nasz wujek. Chciałbym, żeby przy mamie, zamiast wujka, był mój tata.

Spine obejrzał obie fotografie.

- Da się załatwić - powiedział. - Będzie ładny portrecik do powieszenia na ścianie. Za czterdzieści dolarów, płatne z góry.

- W porządku - zgodził się Pete i wręczył fotografowi cztery dziesięciodolarowe banknoty. - Jak się robi taki fotomontaż? - zapytał z naiwną ciekawością.

- Jest przy tym kawał roboty - powiedział Spine. - Trzeba skopiować rodzinne zdjęcie, z kliszy usunąć męską twarz. Potem zrobić to samo z drugą fotografią i twarz tak zmniejszyć, żeby dokładnie pasowała do pustego miejsca. Można wykonać to wszystko na komputerze ze skanerem, ale jakość jest wtedy gorsza. Ja wolę tradycyjną metodę.

- Fajnie - ucieszył się Pete; poszperał w kieszeni i wyciągnął z niej próbną odbitkę, przedstawiającą fazy montażu zdjęcia z Nocy Ognistych Demonów, z wizerunkiem Victora na ostatniej klatce. - W ten sposób pan to robi?

Spine wziął od niego odbitkę. Spojrzał. Twarz mu zeszywniała, oczy wyszły na wierzch.

- Skąd to masz? - wymamrotał.

- Pan się denerwuje - stwierdził Pete.

Fotograf przedarł na pół odbitkę. Potem porwał ją na strzępy, wsypał do popielniczki i podpalił. Kiedy w popielniczce został sam popiół, odetchnął z wyraźną ulgą i spojrzał na Pete'a. Oczekiwał reakcji. Zapewne zdziwiło go, że Pete uśmiecha się po łobuzersku.

- Dlaczego miałbym się denerwować? - spytał Spine z udawaną nonszalancją. - Teraz ty się denerwujesz.

- Ani trochę. - Pete wyjął z kieszeni drugą, taką samą, odbitkę i podał Spine'owi. - Palimy tę też? Tylko niech pan ją przedtem odwróci. Na tym papierze fotograficznym nie ma firmowej pieczętki. A na oryginale stoi jak byk: "Pracownia fotograficzna - Tom D. Spine". Oryginału, niestety, nie mam przy sobie.

- Dogadajmy się - zaproponował fotograf.

- Po to przyszedłem, prawdę mówiąc. - Pete wyszczerzył zęby w przyjaznym uśmiechu. - Na pewno się dogadamy.

- Ile? - warknął Spine.

- Za podłożenie bomby ulubieńcowi Kalifornii żadna sumka nie jest za duża - powiedział Pete. - Pan wziął za to ekstra dziesięć tysięcy dolarów. Gdyby tak połowę...

- Tyle ci nie dam! - wykrzyknął fotograf.

- Połowę tej sumy przeznaczymy na sierociniec w Rocky Beach, a resztę może pan sobie zatrzymać - zaproponował Pete. - Pod jednym małym warunkiem. Weźmie pan ze sobą klisze z kolejnych faz montażu i pojedziemy razem do redakcji "Los Angeles Sun". Tam powiemy, że zrobił to pan dla żartu, aby zagrać na nosie narzeczonej, która jest fanką Morgana. I że ktoś wykradł panu to zdjęcie.

Tom Spine stał nieruchomo, wpatrując się w galerię fotosów rozwieszonych na ścianie. Zapewne rozważał ultimatum Pete'a. W końcu kiwnął głową.

- Zaczekaj - mruknął. - Idę do ciemni po klisze.

Zniknął za kotarą, zamknął za sobą drzwiczki. Pete'owi wydało się, że słyszy, jak Spine mówi coś do siebie. Zapewne kłął jak szewc. Po paru minutach zrozumiał, że fotograf nie kłął, tylko rozmawiał przez telefon: drzwi do zakładu otworzyły się gwałtownie i do środka wpadło dwóch ciemnoskórych osiłków w trykotowych koszulkach.

Pierwsze ciosy Pete odparował i sam zadał kilka wyższemu z dryblasów, który zatoczył się na ścianę. Niższy znał karate nie gorzej od Pete'a. Poleciały na bok taborety, przewrócił się kontuar. Pete już miał zadać swój słynny, decydujący cios, nogą z półobrotu, gdy poczuł na karku ukłucie ostrza. Wyższy drab trzymał go z tyłu za włosy i groził nożem. Jednym ruchem mógł mu podciąć gardło.

Pete spasował. Nie stawiał oporu, gdy niższy wykręcił mu ręce i wprawnie je związał Pete'a paskiem od spodni. Wyższy spętał go taśmą klejącą, od kostek do bioder i wyżej, wokół ramion, aż do szyi. Pete poczuł się jak mumia egipska.

Dopiero wtedy zza kotary wynurzył się Tom Spine.

- Gdzie masz oryginał? - zapytał uprzejmie.

- W Citibanku, oddział w Rocky Beach, skrytka 214 - odparł jeszcze uprzejmie Pete.

- Poproszę o kluczyk.

- Nie mam.

- A gdzie jest, do diabła? - rzucił już mniej uprzejmie Spine.

- Zostawiłem go u stryjka - odpowiedział Pete z przeproszającym uśmiechem. - Nie przewidziałem, że będzie panu potrzebny.

- Nazwisko i adres! A jeśli skłamiesz, już jest po tobie.

- Sierżant Mat Wilson. Posterunek policji w Rocky Beach, Longside Drive 1236 - wyrecytował Pete.

- Kasujemy gnojka? - zapytał wyższy bandzior.

- Jeszcze nie teraz - powiedział Spine. - Dam mu szansę.

- Wręczył Pete'owi długopis i kartkę. - Pisz do stryja, żeby wydał klucz okazicielowi.

- Przydałaby się wolna ręka.

Na znak Spine'a wyższy rozciął taśmę i poluzował pasek. Gdy Pete skończył pisać, znów go związano i oklejono.

- Bierz mój wóz i jedź tam - powiedział Spine do niższego.

- Jeśli coś pójdzie nie tak, dzwoń z komórki.

- Zanim zdechniesz, obejrzysz własne flaki - przyrzekł Pete'owi wyższy, celując mu w brzuch szpicem rzeźnickiego noża.

Pete miał pewność, że nie są to obiecanki-cacanki. Jego jedyną nadzieją było to, że Mat Wilson, policjant zaprzyjaźniony z Trzema Detektywami, po przeczytaniu dziwnego listu od Pete'a: *Stryjku! Wydaj okazicielowi kluczyk, który u ciebie zostawiłem. Pozdrowienia dla Jupe'a i Boba. Twój Pete Crenshaw* - nabierze podejrzeń i zatrzyma doręczyciela oraz przekaze wiadomość Jupiterowi. Czy właśnie tak będzie? A jeśli nie?

Pete nie miał najmniejszej ochoty na oglądanie swoich wnętrzności.

Para drabów wepchnęła go do ciemni. W zamku zgrzytnął klucz. W mdłym czerwonym świetle nieosłoniętej żarówki Pete'owi zaczęły się jawić jakieś złowieszcze cienie, dobiegać szepty i szelesty. Chyba się bał. Z minuty na minutę bardziej. Nie musiał ukrywać tego przed sobą.

Żałował, że nie posłuchał Jupe'a i nie wziął Boba jako obstawy. On, zawsze taki ostrożny.

Bob przelatywał palcami po klawiaturze komputera, usiłując przeniknąć do bazy danych koncernu "Stock Industries". Kiedy dotarł tam w końcu, złamał kombinację szyfrową, dowiedział się jedynie, że program BŁĘKITNA DOLI NA realizuje konsorcjum utworzone przez GRUPĘ KAPITAŁOWĄ. O samej GRUPIE KAPITAŁOWEJ nie było żadnych informacji.

- Gdzieś muszą być - powiedział Jupe.

- Tylko gdzie? - mruknął Bob.

- To, że ich nie ma, też daje do myślenia - zauważył Jupe. - Ale nam potrzebne są konkrety. Spróbuj znaleźć bank, w którym "Stock Industries" ma swoje konto.

To nie było trudne. Koncern Waltersa współpracował z First National Banking System.

- Spróbuj tam wejść - poradził Jupiter.

Bob rozpoczął procedurę od samego początku. Kiedy dotarł do bazy danych First National, był już spocony jak myszka, a czekało go najtrudniejsze: włamanie do wykazu klientów, strzeżonego przez zapory kodów słownych i liczbowych. Przemysłny sposób, opracowany przez Boba a polegający na wprzęgnięciu komputera w tworzenie i przymierzanie kombinacji słowno-cyfrowych, zdał w końcu egzamin. Padały kolejne zapory. Wreszcie monitor wyświetlił listę klientów banku i programy przez niego finansowane.

Bob zapytał o "Błękitną Dolinę". Taki program w wykazie nie figurował. Nie było również "Budowy elektrowni". Program objawił się dopiero po wprowadzeniu hasła "Inwestycja termojądrowa".

Inwestorów było kilkunastu, ale tylko drobnych - po dwa, trzy procent udziału. Na pierwszym miejscu, jako główny udziałowiec przedsięwzięcia, figurował koncern "Stock Industries": siedemdziesiąt pięć procent udziałów i wielka suma zainwestowana w przedsięwzięcie, zwłaszcza na wykup gruntów w Błękitnej Dolinie.

- No to jesteśmy w domu - stwierdził Jupe. - Poszukaj wśród inwestorów koncernu prasowego "Los Angeles Sun".

Bob popracował przy klawiaturze, przeleciał wykaz od góry do dołu.

- Nie figuruje - powiedział. - Nie ma nawet konta w First National.

- W takim razie głównym i jedynym przeciwnikiem Morgana jest sam John Walters. Nie ma poważnej grupy kapitałowej, a Walters tylko udaje życzliwego pośrednika. Zrób



wydruk "Inwestycji termojądrowej".

Po paru minutach z drukarki wypłynął spis inwestorów z ich udziałami. Tereny wykupione w Błękitnej Dolinie miały stanowić wyłączną własność "Stock Industries".

Jupiter w zadumie skubał dolną wargę. Krąg podejrzanych zawęził się do dwóch osób. Pierwszą był John Walters. Drugą... mąż jego siostry, Martin Morgan. Byłby to majstersztyk: toczyć bój z "grupą nacisku", w ostatniej chwili oczyścić się z pomówień i triumfalnie wygrać wybory, a potem zapomnieć o przyrzeczeniach danych wyborcom i pozwolić "Stock Industries" na dewastację Błękitnej Doliny.

Efektowna i logiczna hipoteza. Poparta założeniem, że w rodzinie takie sprawy załatwia się po cichu: Martin Morgan nie musi mieć udziałów w przedsięwzięciu, łapówek się nie rejestruje, ze szwagrem można nie spisywać nawet sekretnej umowy.

Morgan musiałby być wspaniałym aktorem. A dlaczego by nie? Posłużenie się Trzema Detektywami dla oczyszczenia się z zarzutów to doskonały pomysł.

Rozum dyktował Jupiterowi, że jest na właściwym tropie.

Intuicja naszeptywała, że Martin Morgan to porządny człowiek.

A bo to można wiedzieć, do czego są zdolni politycy? Zawsze wyglądają na porządnym ludzi, kochających swój naród i pragnących mu służyć. Później okazuje się, i to dość często, że najbardziej kochają siebie, a naród powinien usługiwać im. Są wyjątki. Intuicja naszeptywała, że należy do nich Morgan. Ale mogła się mylić.

Skubanie dolnej wargi przerwał Jupe'owi Bob, przypominając, że Pete się spóźnia. Miał tu być godzinę temu albo zadzwonić z redakcji "Los Angeles Sun", że jest tam ze Spine'em, gotowym przyznać się do fałszerstwa.

Jupe zadzwonił do Pete'a na komórkę. Operator poinformował, że abonent jest poza zasięgiem sieci lub ma wyłączony aparat, i zaproponował pocztę głosową.

- To dziwne - mruknął Bob. - Pete nie wyłączyłby komórki. I nie może być daleko. Chyba że w telefonie wyczerpała się bateria.

- Wykluczone - powiedział Jupe. - Wczoraj wieczorem je ładowaliśmy.

- Pertraktacje ze Spine'em mogą się przeciągać - wyraził przypuszczenie Bob. - Pete nie odbiera telefonu albo go wyłączył.

- Hm... - sapnął powątpiewająco Jupiter.

W tym momencie zadzwonił w przyczepie zwykły telefon. Jupe szybko sięgnął po słuchawkę. Poznał głos sierżanta Wilsona.

- Jupiter Jones? Mam dla was zagadkę do rozwiązania. Dziesięć punktów za objaśnienie, jaki stopień pokrewieństwa łączy mnie z Pete'em Crenshawem. Właśnie

dostałem od niego liścik, w którym tytułuje mnie stryjkiem i prosi, żeby wydać doręczycielowi listu jakiś klucz.

- Gdzie jest ten doręczyciel?! - wykrzyknął Jupe.

- Czeka w dyżurce - powiedział Mat Wilson. - Myśli, że poszedłem po ten klucz.

Dzwonię z sąsiedniego pokoju.

- "Stryj" to sygnał, że z Pete'em dzieje się coś złego - powiedział szybko Jupe. - Proszę zatrzymać doręczyciela.

- Zaczekaj przy telefonie. - Jupe usłyszał kroki: oddalające się, potem zbliżające, a następnie zdenerwowany głos sierżanta: - Facet uciekł!

## ROZDZIAŁ 7

### UKRYTA KAMERA

Sportowa honda gnała przez Los Angeles, połykając skrzyżowania na pomarańczowych światłach, zajeżdżając drogę luksusowym łazęgom, wyprzedzając panusie w chryslerach i cadillakach, które uprawiały bez zatrzymywania się tak zwany “windowshopping”, czyli przegląd wystaw sklepowych w eleganckiej części Bulwaru Zachodzącego Słońca.

Bob skręcił na zachód, przemierzył sieć coraz ciasniejszych ulic i uliczek, coraz bardziej brudnych i zagraconych. Przed parterowymi domkami, na zdezelowanych otomanach z wypryskami sprężyn, grzali kości staruszkowie, dzieciaki grały w piłkę na wysypiskach śmieci, przy krawężnikach spały snem wiecznym przerdzewiałe wraki aut.

- Szybciej! - ponaglał Jupe.

Bob nawet nie próbował przekonywać go, że robi, co może. Wreszcie zwolnił. Tuż za rogiem było wejście do pracowni fotograficznej Spine'a. Honda wcisnęła się między dwa rupiecie, które tuzin lat temu były modnymi samochodami.

- Znasz plan - przypomniał Jupiter. - Jeśli wyprzedziliśmy gościa, który uciekł z komisariatu, powinien się udać.

Bob został w wozie. Jupe wysiadł i pobiegł za róg. Wpadł do pracowni fotograficznej. Tom Spine, który stał za ladą - przekrzywioną i ze stłuczonym szklanym blatem - popatrzył na niego zaskoczony.

- Wiać! - rzucił Jupe. - Zaraz tu będzie policja. Jadą za nim!

Nie czekając na reakcję Spine'a, wyskoczył z pracowni. Wbiegł do bramy po drugiej stronie ulicy i przycupnął za stertą kartonowych pudeł.

W szparze między pudłami widać było wejście do zakładu. Jeśli Spine wpadł w panikę, powinien zaraz stamtąd wybiec. Plan Jupitera polegał na wywołaniu u Spine'a paniki. Musiał sam być w panice, aby się udzieliła tamtemu. Czy dobrze to zagrał? W każdym razie nie zostawił fotografowi czasu na zadawanie pytań.

Kalkulacje nie zawiodły. Po dwóch minutach Spine opuścił pracownię, zamykając drzwi na klucz. Za szybką w drzwiach zawisła tabliczka “Nieczynne”. Fotograf rozejrzał się i ruszył żwawo, prawie biegnąc, w stronę wąskiego zaułku między parą obdrapanych bloków.

Jupe gwizdnął. Pojawił się Bob. Otworzenie drzwi do zakładu specjalnym wytrychem zajęło mu dwadzieścia osiem sekund. Obaj wpadli do środka, Bob ruszył prosto w kierunku

ciemni. Drzwiczki za kotarą też były zamknięte na klucz.

- Pete, jesteś tam? - rzucił Jupe stłumionym głosem.

Nikt nie odpowiedział.

Ten zamek, patentowy, zajął Bobowi trochę więcej czasu, prawie dwie minuty. Ale i z nim się uporał.

W czerwonym świetle lampki zobaczyli na podłodze tłumok. Pete, owinięty taśmą klejącą od stóp do głów, nawet nie mógł się poruszyć. Usta też miał zalepione plastrem.

Jupe scyzorykiem porozcinał taśmę, uważając, by nie skaleczyć Pete'a. Na końcu zdarł mu plaster z ust.

- Znikamy - syknął.

Gdy wybiegali z pracowni, przed jej drzwiami zatrzymywał się volkswagen Spine'a z ciemnoskórym drabem za kierownicą. Drab zbaraniał na moment. Wskoczył z auta, spróbował zagrozić drogę Pete'owi, złapał go za łokieć. Pete wykonał półobrót w lewo i grzbietem prawej dłoni wymierzył dryblasowi cios w grdykę.

Facet przysiadł i złapał się za gardło. Pete poskromił w sobie chęć wykonania poprawki za pomocą klasycznego kopnięcia z drugiego półobrotu. Typ miał dosyć.

Wskoczyli do hondy. Bob uruchomił silnik, sportowa maszyna wystartowała z piskiem opon. Pete zdążył jeszcze zobaczyć, jak w kierunku skulonego faceta nadbiegają z dwóch różnych stron jego kumpel i Spine.

Sybil Morgan prawie nie spała tej nocy. Nad ranem spostrzegła, że jej mąż także nie śpi: leżał na plecach, z otwartymi oczami, i wpatrywał się w sztukaterię o kształcie różanego wieńca, zdobiącą sufit nad ich łóżem. Odezwała się do niego szeptem, w odpowiedzi zobaczyła wymuszony blady uśmiech.

- Czy musimy tak się męczyć? - zapytała.

- Już niedługo - odparł. - Pojutrze wybory. Nie myśl o tym wszystkim, kochanie.

- Wiesz, co cię czeka jutro - powiedziała cicho pani Morgan. - Całe miasto zobaczy zdjęcie Victora w "Los Angeles Sun". Jeśli nas kochasz, ustąp. Błagają cię o to twoi najbliżsi, cała nasza rodzina.

Mart! n Morgan poruszył wargami.

- Victor o nic mnie nie prosi - odezwał się głucho, jakby mu brakowało powietrza. - Tylko on sam mógłby mnie przekonać, że nie należy do gangu. Może zszedł na złą drogę? Przez ostatnie miesiące prawie nie poświęcałem mu czasu.

- W tej chwili nie jest to ważne - powiedziała Sybil, kładąc dłoń na dłoni męża,

bezwładnie spoczywającej na kołdrze. - Musisz uniknąć kompromitacji, ocalić swoje dobre imię. Zrezygnuj z kandydowania, Martin. Zrób to dla mnie.

- Złożyłem wyborcom przyrzeczenie, że nie dopuszczę do krzywdy. - Morgan wciąż wpatrywał się w sztukaterię nad łóżem. - Liczą na mnie. Wierzą, że ocalę Błękitną Dolinę, a ja zamierzam dotrzymać słowa. Dlatego się nie poddam.

- Jeżeli nie chcesz mnie posłuchać, porozmawiaj z moim bratem - powiedziała pani Morgan. - Wiesz, jak bardzo jest ci życzliwy...

Nie dokończyła. Mąż usiadł na łóżku. Tak zimnym wzrokiem jeszcze nigdy na nią nie patrzył.

- Czy to John namówił Victora do zniknięcia z domu? - zapytał sucho.

- Co ci przychodzi do głowy! - oburzyła się Sybil.

- Twój brat wcale nie życzy sobie, bym zrezygnował z kandydowania - powiedział Martin Morgan. - Żąda czegoś innego. A ja nigdy się na to nie zgodzę. Nigdy, rozumiesz?

Pani Morgan zamknęła oczy, zbierało jej się na płacz. Milczała aż do chwili, gdy mąż wstał z łóżka i opuścił sypialnię. Dopiero wtedy ukryła twarz w poduszce i wybuchnęła szlochem.

Na śniadanie nie zeszła pod pretekstem migreny. Mąż wrócił na chwilę do sypialni, by pocałować ją na pożegnanie. Spieszył się na wiec z pracownikami portu. Po paru minutach usłyszała szelest opon odjeżdżającej limuzyny.

Chyba zdrzemnęła się, wycieńczona nieprzespaną nocą. Obudziło ją dyskretne kasznięcie. Przy łóżku siedział w fotelu John Walters, bawiąc się niezapalonym cygarem.

- Przepraszam, że tu wtargnąłem, siostrzyczko - odezwał się, zauważywszy, że otworzyła oczy. - Sytuacja stała się dramatyczna, nie mamy czasu do stracenia. Musisz jeszcze dzisiaj wymóc na Martinie, że poprze w Waszyngtonie nasz projekt. Jego słowo albo katastrofa.

Sybil Morgan patrzyła na brata szeroko otwartymi oczami. Jeszcze go takim nie widziała: kamienna twarz i nieruchome, zimne spojrzenie.

- Mam ciągle nadzieję, że Martin zrezygnuje z kandydowania - powiedziała cicho. - Dziś wieczorem usłyszy, że Victorowi grozi niebezpieczeństwo, jeśli natychmiast nie wycofa kandydatury. Tylko tyle mogę zrobić.

John Walters włożył cygaro do ust. Potem je wyjął, nie zapaliwszy.

- Doskonała myśl - stwierdził. - Jeśli twój mąż nie poprze projektu, Victorowi stanie się nieszczęście. Powiedz mu to.

- Nigdy. - Teraz oczy pani Morgan stały się lodowate. - Martin może nie zostać

senatorem. Ale łajdakiem nie jest na pewno.

- Jego los spoczywa w twoich rękach. - Walters wstał z fotela; zwalista sylwetka, wbita w ciemny garnitur, zawisła nad siostrą jak czarny obłok, twarz była surowa, prawie ponura. - I los Victora również. Do usłyszenia, siostrzyczko. Spodziewam się od was telefonu najpóźniej dziś wieczorem.

Wyszedł. Sybil Morgan patrzyła przed siebie niewidzącym wzrokiem. Nie wiedziała, że od kilku minut w progu sypialni stoi Angela.

- Czy ojciec wie, że wuj John jest naszym wrogiem? - usłyszała głos córki.

- Nie nazywaj wujka w ten sposób - odpowiedziała bezbarwnie. - On się boi o nas.

- I dlatego zagroził, że Victorowi stanie się nieszczęście, jeśli ojciec nie poprze jakiegoś projektu? - spytała Angela.

Sybil Morgan nie znalazła na to odpowiedzi.

Tym razem zadanie Boba było trudniejsze. Może najtrudniejsze z dotychczasowych. Komputer pracował na najwyższych obrotach, penetrując zawile głębiny First National Banking System. Jupe chciał mieć dane o powiązaniach z innymi bankami, dotyczących projektu w Błękitnej Dolinie. Nici łączące banki przypominały labirynt: wiodły krętymi korytarzami transz, kredytów, pożyczek, jakichś gwarancji i zabezpieczeń, urywając się w ślepych zaułkach. Trzeba było zawracać, łamać kolejne kody i rozpoczynać poszukiwania od początku.

Po pewnym czasie Bob zrozumiał, że zagmatwania i urywające się ślady to nie przypadek. Postanowił prześledzić dokładnie jeden z tropów. Rzecz dotyczyła farmy niejakiego Iry Cornfielda, położonej w Błękitnej Dolinie, której ofertę kupna złożyła Cornfieldowi firma "J.W.S.". Cornfield nie chciał sprzedać posiadłości. Firma "J.W.S." wykupiła w małym prowincjonalnym banku papiery dłużne związane z pożyczką zaciągniętą przez farmera na dwadzieścia pięć lat.

Kilku rat Cornfield nie zdołał wpłacić w porę. Prowincjonalny bank za każdym razem wyrażał na to zgodę, przesuując termin spłaty.

- Chodźcie tutaj! - zawołał Bob do Jupe'a i Pete'a.

Zgody banku zostały w tajemniczy sposób wykasowane. Firma "J.W.S." odkupiła zadłużenie z odsetkami karnymi. Dług wzrósł wielokrotnie.

"J.W.S." przekazuje dokumenty do Citibanku, gdzie ma swoje konto.

Citibank żąda od Cornfielda natychmiastowej spłaty pomnożonego zadłużenia.

Postanowienie sądu o zajęciu farmy. Komornik. Licytacja. Farmę kupuje spółka

“Ranger” i przekazuje “J.W.S.”.

- A teraz patrzcie...

Firma “J.W.S.” należy do “Stock Industries” Johna Waltersa. Walters staje się legalnym właścicielem kolejnych dwustu hektarów w Błękitnej Dolinie. Akt notarialny. Koniec sprawy.

- Gdzie jest przekręt? - spytał Jupe.

- Tutaj. - Bob cofnął ciąg informacji do miejsca, w którym zniknęła zgoda prowincjonalnego banku na opóźnienie spłat kredytu. Była i nie ma jej. Karne odsetki są naliczane wstecz. Farmer nie ma o tym pojęcia. Nawet nie protestuje, gdy jego ranczo idzie pod młotek. Popelnia samobójstwo. Od tego momentu w bazie danych figurują spadkobiercy Cornfielda. Krótki zapis: “Ira Cornfield, lat 65, śmierć samobójcza, 6.12.1999r. Licytacja farmy 7.12. 1999r. Spadkobiercy: bratanek, Don Cornfield, i jego żona, Emma, zamieszkali w Norfolk, Kingsroad 112...”.

- Chcę mieć wydruk całej tej sprawy - powiedział Jupe.

Drukarka posłusznie zabrała się do roboty, wyrzucając stronę po stronie.

Przed składowiskiem staroci należącym do wujostwa Jupe'a, Tytusa i Matyldy Jones, zatrzymał się połyskujący niklem dziup cherokee. Złotowłosa dziewczyna o bardzo długich nogach, których smukłość podkreślała dżinsowa spódniczka mini, obeszła składowisko i weszła do środka tylną furtką na wprost kempingowej kwatery trzech Detektywów. Musiała znać drogę.

Jupe był sam. Siedział przy małym stoliku, na którym ledwo mieściły się stosy dokumentów i zdjęć. Jupiter układał je w kolejności, jak karty w grze: anonim otrzymany przez Jenkinsa, kilka zapisów z dyktafonu, wersje zdjęć z Nocy Ognistych Demonów, notatki z rozmów z członkami rodziny Morganów, film kupiony od rudej, odbitkę z klatkami fotomontażu, stronę “Los Angeles Sun” mającą jutro ukazać się w druku. Łamigłówna tworzyła teraz logiczną całość. Nie pasował do niej tylko anonim.

Na widok długonogiej dziewczyny w progu przyczepy Jupe uniósł głowę znad papierów. Dziewczyna patrzyła na Jupe'a, mrużąc oczy.

- Jestem Angela Morgan - powiedziała.

- Poznaje - powiedział Jupe. - Jakim cudem tutaj trafiłaś?

Angela nie zadała sobie trudu, aby tłumaczyć, że ich obserwowała, że niejeden raz krążyła w pobliżu składowiska staroci.

- Chcę wiedzieć, dla kogo pracujecie - rzuciła. - Ty jesteś szefem. Wodzicie za nos

mojego ojca, jeszcze nic nie zrobiliście. Może to nie przypadek?

- Może - zgodził się Jupe, kryjąc uśmiezek. - Siadaj - wskazał jej obrotowy fotelik przed komputerem.

Angela nie skorzystała z zaproszenia.

- Gdybyście byli naprawdę po stronie ojca, pozwoliłbyś mu spotkać się z Victorem. Od razu wszystko by się wyjaśniło. Gracie na zwłokę, żeby przegrał wybory. Wiem, kto was przekupił!

Migdałowe oczy Angeli pociemniały od gniewu, wargi drżały. Chyba była bliska płaczu.

- Pan Morgan nie przegra wyborów - zapewnił Jupe.

- Nie wciskaj mi ciemnot! - wybuchła. - Dlaczego wszyscy są przeciwko niemu? Nawet mama! Jest zaszczyty, wykończony, osaczony ze wszystkich stron jak zwierzę. Jesteście podli. Podli!

Urwała. Musiała z całych sił zacisnąć wargi, aby się nie rozplakać.

- Gdybyś była tego pewna, nie przyszłabyś tutaj - powiedział łagodnie Jupiter. - Proszę, usiądź.

Tym razem usłuchała. Zakryła twarz dłońmi. Była piękną dziewczyną, wprost na okładkę żurnala dla nastolatków. Tyle że te dziewczyny na okładkach pozują, a ona jest naturalna - pomyślał Jupiter, i autentycznie cierpi. Jest zupełnie niepodobna do brata: subtelna, wrażliwa. I zagubiona. Bliska załamania.

- Wuj John był u nas dziś rano - usłyszał jej głos. - Straszyl mamę. Z Victorem może stać się nieszczęście.

- Kochasz brata - stwierdził Jupe.

- On tylko wygląda na gruboskórno - wyszeptała Angela. - Jest delikatny i słaby. Tyle razy prosiłam, żeby nie chodził do "Hadesu"...

- Victor nie ma nic wspólnego z Demonami - zapewnił Jupiter. - Bywał tam przez ciekawość.

- Wiem. Jest naiwny, tylko udaje twardziela.

Jupe podszedł do Angeli, położył dłoń na jej ramieniu.

- Nie pozwolimy was skrzywdzić - powiedział. - Daję ci na to słowo honoru.

Angela oderwała ręce od twarzy, podniosła głowę i popatrzyła na Jupitera tak, jak spoglądają dziewczęta na swoich ukochanych: z oczyma rozświetlonymi nadzieją.

- Chyba ci wierzę - szepnęła. - Sama nie wiem dlaczego. Wuj John dał mamie czas do wieczora. Potem może się stać coś strasznego.



Jupe uśmiechnął się do Angeli, odruchowo pogłaskał ją po policzku.

- Do wieczora jest dużo czasu - powiedział łagodnie. - Zaufaj nam. - Wskazał na stół obłożony papierami. - Tutaj mam wszystko, czego nam potrzeba, by nie dopuścić do waszej krzywdy.

Teraz Angela uśmiechnęła się. Do Jupe'a. Przez łzy. Lśniły w jej oczach jak kryształowa mgiełka.

Opuściła przyczepę. Nie zauważyła, że niedaleko od jej dżipa parkuje wóz z Peterem Yorkiem za kierownicą, a kawałek dalej - czerwony mustang Pete'a.

Trzy samochody ruszyły w minutowych odstępach.

W restauracji "Casa Italiana" panował miły półmrok i chłodek. Bezszelestnie pracowała klimatyzacja, szyby były zasłonięte pluszowymi kotarami, na stolikach paliły się świece. Przy narożnym stoliku, pochyleni do siebie, siedzieli Walters i York. Nie zwracali uwagi na innych gości, prowadząc szeptem rozmowę, która z oddali wyglądała jak przyjacielska pogawędka. Tym bardziej nie mogli widzieć oka kamery wideo skierowanego w ich stronę. Obiektyw patrzył na nich przez okrągłą szparkę w gazetowej płachcie trzymanej przez Boba.

Bob siedział do nich plecami. Miał na sobie szykowny włoski garnitur, białą koszulę i krawat. Nad górną wargą jeżył się modny wąsik, włosy lśniły od brylantyny, przylizane starannie i zaczesane gładko do tyłu.

Nie słyszał rozmowy tamtych dwóch. Ale słyszał ją i rejestrował superczuły mikrofon. Bob pojadał lazanie, dyskretnie pilnując, by oczko miniaturowej kamery było dobrze wycelowane.

Rozmowa nie trwała długo. Pierwszy opuścił restaurację Peter York. Później prezes "Stock Industries", dopiwszy wino i uregulowawszy rachunek. Bob jeszcze trochę posiedział, dokończył lazanie, zapłacił kelnerowi i wyszedł.

Sportowa honda była zaparkowana dwie przecznice dalej. Bob dosiadł się do Pete'a i sprawdził nagranie. Mimo słabego oświetlenia obraz był dobry, twarze rozmówców widoczne. Później Bob odsłuchał zapis rozmowy na ścieżce dźwiękowej.

"Tylko oni mogą nam przeszkodzić" - rozpoznał głos Yorka. - "Wyśledziłem ich kwatery w starej przyczepie kempingowej, w Rocky Beach..."

"Doskonale, Peter" - głos Waltersa był niższy, z lekką chrypką. - "Muszą zejść nam z drogi, to ostatnie twoje zadanie. Wezmiesz paru moich ludzi..."

Bob podał Pete'owi mikroskopijną słuchaweczkę, którą ten włożył sobie do ucha.

Teraz on odsłuchał rozmowę Waltersa z Yorkiem.

Po paru minutach honda odbiła od krawężnika i płynnie włączyła się w ruch uliczny.

## ROZDZIAŁ 8

### KONFRONTACJA

Prokurator okręgowy Bili Norton przywitał Jupe'a jak starego przyjaciela.

- Jak widzisz, dla ciebie zawsze mam czas - powiedział.

Jupiter położył przed nim świeży numer "Los Angeles Sun". Na pierwszej stronie, tuż pod wstępnym artykułem, widniała zapowiedź w czarnej ramce: "jutro sensacja! Zdemaskowanie rodzinnego sekretu kandydata na senatora. Czy syn Martina Morgana jest członkiem gangu Ognistych Demonów? Nim pójdziesz do urny, przeczytaj naszą gazetę!"

Artykuł wstępny relacjonował bandycką napaść na dom starców w Beverly Hills. Była to luksusowa rezydencja, zamieszkaana przez byłe gwiazdy filmowe i inne znane osobistości, które osiedliły się tam po przejściu na emeryturę.

Bandyci zdemolowali budynek, pobili staruszków i opróżnili sejf, w którym rezydenci przechowywali swoje kosztowności. Kilku pobitych przewieziono do szpitala. Z relacji ofiar wynikało, że napastnicy mogli być skinheadami: nosili charakterystyczne motocyklowe kurtki nabijane metalowymi ćwiekami, z wizerunkami diabłów. Wszyscy byli w kominiarkach. Szczególnym okrucieństwem wyróżniał się ich herszt - olbrzym z diabelskim tatuażem na przedramieniu. Sprawców nie ujęto.

- Co pan o tym sądzi? - zapytał Jupiter.

- Mam prawie pewność, że napadu dokonał gang Ognistych Demonów - powiedział Bili Norton. - Ale i tym razem nie zostawili śladów. Co więcej, mają na tę noc alibi. Kilka panienek zeznało pod przysięgą, że przebywały z nimi od wieczora do rana.

- Chyba bym mógł panu pomóc w przyskrzynieniu gangu - powiedział Jupiter. - Przysługa za przysługę.

Norton uśmiechnął się niewesoło. Miał wątpliwości, czy akurat w tej sprawie pomoc Trzech Detektywów byłaby skuteczna. Nad rozpracowaniem gangu biedziła się już od dłuższego czasu specjalna grupa FBI i jak dotąd bez efektów.

- Czym ja mógłbym ci służyć? - zapytał. Jupe wskazał na zapowiedź jutrzejszej publikacji.

- Mają zamieścić zdjęcie z Nocy Ognistych Demonów - powiedział. - Z Victorem Morganem jako członkiem gangu uczestniczącym w ekscesach. Trzeba temu zapobiec.

- Szanuję Martina Morgana i bardzo mu współczuję - Bili Norton pokręcił głową. - Ale prasa w demokratycznym państwie ma swoje prawa.

- A jeśli uzyska pan dowód, że fotografia jest falsyfikatem?

- Morgan będzie mógł podać gazetę do sądu - powiedział prokurator okręgowy. - Nie widzę tu roli dla siebie. Jako oskarżyciel publiczny występuję tylko w przypadku publicznych przestępstw.

Jupe położył przed Nortonem fotograficzną odbitkę podzieloną na klatki z kolejnymi fazami montażu.

- Tak powstawało zdjęcie, które ma się ukazać w jutrzejszym "Los Angeles Sun".

Prokurator oglądał odbitkę z coraz większym zainteresowaniem.

- Skąd to masz? - zapytał. - Znasz autora falsyfikatu?

- Wystarczy spojrzeć na odwrotną stronę. Papier jest sygnowany. Producent dostarcza stałym odbiorcom papier fotograficzny z ich firmowym logo.

- Co to za Tom D. Spine?

- Mały cwaniaczek. Płotka. Ważniejsze, kto mu to zlecił.

- Kto?

- Osobisty sekretarz Martina Morgana.

Bili Norton otworzył szeroko oczy. Nawet prokurator czasami nie umie ukryć zaskoczenia.

- Morgan sam sobie zrobił harakiri? - zapytał z niedowierzaniem.

- Nic podobnego - powiedział Jupe. - York zdradził swojego chlebodawcę. Pracuje dla innej osoby. I tu zaczyna się sprawa, która powinna zainteresować prokuratora okręgowego.

Norton nadal przyglądał się próbnej odbitce z klatkami ujęć.

- Przedtem pytanie - odezwał się półgłosem. - Jak możecie nam pomóc w przywołaniu Ognistych Demonów?

Jupe wyjął z kieszeni rolkę filmu.

- Policja ma tylko parę zdjęć z ich słynnej zadymy - powiedział. - Podobno adwokat Demonów kwestionuje ich autentyczność.

- Nie ma klisz - potwierdził prokurator.

- Są. Cała rolka ujęć z Nocy Ognistych Demonów. - Jupe podał Nortonowi film. - Niektóre zdjęcia doskonałej jakości, odbitki zrobiono tylko z paru najgorszych. Jest tu ujęcie, na którym dokonano fałszerstwa, wmontowując twarz Victora Morgana. Ta klisza i odbitka z fazami montażu powinny wystarczyć, by "Los Angeles Sun" odstąpił od publikacji.

Bili Norton przespacerował się po gabinecie. Stał przy oknie i obejrzał pod światło film, klatka po klatce.

- Mamy ich - powiedział. - FBI ucałuje cię w oba policzki.

Jupe wyobraził sobie pocałunki szefa FBI i nie poczuł entuzjazmu. Szkoda, że agentką Federalnego Biura Śledczego nie jest Angela Morgan.

- Wolałbym inną formę wyrażenia wdzięczności - zauważył.

Norton roześmiał się i usiadł w fotelu naprzeciw Jupitera.

- Teraz opowiedz mi i wszystko, co wiesz - powiedział i włączył stojący na biurku magnetofon.

Jupe mówił około godziny, ilustrując opowieść dokumentacją. Kiedy skończył, prokurator zatelefonował do redaktora naczelnego "Los Angeles Sun".

- Cześć, Jimmy, tu Bili Norton - rzucił do słuchawki. - Zatrzymaj druk publikacji o Morganie. Mam przed sobą dowody, że fotografia to falsyfikat. Tak. Niezbite dowody. Dostarczę ci je jeszcze dzisiaj. Rozumiem, że żal takiej sensacji, ale będziesz miał większą Bombę, że mózg staje.

- Niech to zleci redaktorowi Andrewsowi - odpowiedział cicho Jupe.

Norton w mig połapał się, o co chodzi, dobrze znał ojca Boba.

- Do tej bomby najlepiej się nada Andrews. - Norton mrugnął do Jupe'a. - Każ mu być w gotowości. Niech jutro rano zadzwoni do mnie.

Odłożył słuchawkę.

- Jedną sprawę mamy z głowy - powiedział. - Finał dziś wieczorem. Dam ci znać, gdzie i kiedy. Czekać na mój telefon.

Był wieczór, gdy pod składowisko staroci zajechał czarny van ze zgaszonymi światłami. Wsiadło kilku mężczyzn w kominiarkach. Od osobowego wozu, zaparkowanego dalej i także bez świateł, oddzieliła się jakaś postać i podeszła do nich.

Peter York wskazał zamaskowanym mężczyznom tylną furtkę wiodącą na teren składowiska i kempingową przyczepę o oświetlonych oknach.

- Żadnego hałasu - rzucił szeptem. - Bierzecie ich i zawozicie do opuszczonej kopalni w Black Hill. Mają tam być do piątku.

Jeden z mężczyzn kiwnął głową.

- A potem?

- Dowiedzie się.

York wrócił do swego samochodu. Obserwował, jak mężczyźni wchodzą przez furtkę, jak ich cienie zbliżają się do przyczepy.

Drzwi nie były zamknięte. Wtargnęli do środka. Zobaczyli trzy chłopięce sylwetki odwrócone plecami.

- Nie ruszać się, bo po was! - syknął jeden z zamaskowanych.

Żadna z postaci nie poruszyła się. Doskoczyli, po dwóch do każdego. Chwycili wprawnie.

- A niech to!

Ściskali kukły wypchane kulkami styropianu.

Kulki rozsypały się po podłodze przyczepy.

- Stać! Policja! - dobiegł z tyłu głos sierżanta Wilsona.

Zamaskowani nie stawiali oporu. Po paru minutach, już skuci, dołączyli do Petera Yorcka.

Limuzyna Johna Waltersa wjechała na teren posiadłości Morganów i zatrzymała się na podjeździe. Szofer zgasił światła, wysiadł i otworzył drzwiczki przed prezesem "Stock Industries". Walters wszedł do rezydencji.

Ciemnoskóry służący o siwych, krótko przyciętych włosach wziął od niego kapelusz i laskę.

- Państwo Morgan czekają na pana prezesa w bibliotece - powiedział z uprzejmym uśmiechem, pochylając głowę.

John Walters przeciął obszerny hall i wszedł do pomieszczenia z szafami bibliotecznymi pełnymi książek w bogatych oprawach. Pośrodku biblioteki, przy niskim stoliku, siedzieli obok siebie na kanapie Sybil i Martin Morganowie.

Walters zbliżył się do nich, ucałował siostrę w policzek, mocno uściśnął dłoń szwagra.

- Miło znaleźć się w kręgu najbliższej rodziny - powiedział jowialnie, rozsiadając się w skórzanym fotelu po drugiej stronie stolika. - Czekałem na tę chwilę z prawdziwą niecierpliwością, panie senatorze - popatrzył na Morgana z dobrotliwym uśmiechem. - Nie zapytasz, czego się napiję?

Morgan bez słowa podszedł do barku na kółkach i z kryształowej karafki nalał Waltersowi kieliszek koniaku "Remy Martin".

- Chyba nie zmieniłeś przyzwyczajień - powiedział, napełniając szklanki dla siebie i żony sokiem pomarańczowym z odrobiną wódki "Smirnoff".

- Zawsze ten sam i taki sam, niezmiennie wam życzliwy - zaśmiał się John Walters. - Twoje zdrowie, senatorze Morgan!

Wypił duszkiem koniak, oblizał wargi końcem języka, sięgnął do ozdobnego srebrnego pudełka pośrodku stolika po cygaro. Obwąchał je, potem zapalił i wypuścił kłęb aromatycznego dymu, który odpłynął w górę, spowijając żyrandol niebieskawą mgiełką.

- Za wcześnie tytułujesz mnie senatorem, John - zauważył Morgan.

- Masz tę godność w kieszeni - zapewnił Walters. - Z moich sondaży wynika, że zdobędziesz co najmniej siedemdziesiąt procent głosów.

- Jeśli mu w tym nie przeszkodzi "Los Angeles Sun" - wtrąciła Sybil Morgan.

- Chyba żartujesz, siostrzyczko - John Walters delektował się cygarem. - Ktoś czeka na mój telefon. Wyobrażacie sobie ten szum w redakcji, kiedy okaże się, że fotografia z moim siostrzeńcem jako członkiem gangu to obrzydliwy falsyfikat? Będą musieli przerobić całą pierwszą kolumnę i zamieścić przeprosiny.

- Przyznajesz więc, że to zdjęcie jest fałszywką - powiedział Morgan.

- Jak mógłbym uwierzyć, że Victor należy do Ognistych Demonów? Przecież znam go od urodzenia. Trochę narwany i z fantazją, jak jego mamusia, ale złote serce.

- Mimo to dopuściłbyś do publikacji - zauważyła ta chłodno Sybil.

John Walters przestał się uśmiechać. Jego nalana twarz zeszywniała.

- Nie jestem redaktorem gazety - rzucił. - Rozmawiamy o interesach.

- Jak byś nazwał interes ze sfalszowaniem fotografii własnego siostrzeńca i szantażowaniem męża rodzonej siostry? - zapytała Sybil Morgan, patrząc Waltersowi prosto w oczy.

Walters wytrzymał to spojrzenie. Nawet się nie zmieszał.

- Jestem tylko pośrednikiem, który chciał wam oszczędzić poważnych kłopotów - powiedział sucho. - Interes to interes. Sądziłem, że zapraszacie mnie tutaj, żebyśmy doszli do porozumienia.

- Wkrótce dojdziemy - zapewnił Martin Morgan. - Gwarantujesz, że zdjęcie Victora w stroju Ognistych Demonów nie ukaże się w jutrzejszej gazecie?

- Masz moje słowo.

- Dlaczego użyliście Victora do tej gry?

- Kochamy nasze dzieci - odparł John Walters, uśmiechając się, znowu rozluźniony. - Dla nich zrobimy wszystko. Jak widać, miałem rację, rozumując w ten sposób, drogi senatorze Morgan.

Sybil Morgan powoli sięgnęła po szklankę z sokiem pomarańczowym. Wypiła łyk.

- Nie wierzę, że jesteś pośrednikiem - powiedziała. - To ty kazałeś wmontować twarz Victora w zdjęcie z ekscesów. Ty je przesłałeś do redakcji "Los Angeles Sun" i dlatego możesz wstrzymać druk. Ty szantażujesz Martina, by wymusić na nim poparcie dla projektu budowy w Błękitnej Dolinie.

- Nikt mi tego nie udowodni - uśmiechnął się krzywo John Walters.

- Ja udowodnię.

Walters odwrócił się i zobaczył w progu biblioteki młodzieńca z ciemną czupryną, o sympatycznej puciołowatej twarzy i brązowych poważnych oczach.

- Kto to jest? - zwrócił się do siostry.

- Jupiter Jones - przedstawił się młodzieniec. - A to są moi dwaj partnerzy, Bob Andrews i Pete Crenshaw.

Wszyscy trzej weszli do biblioteki. Nie sami: towarzyszył im prokurator okręgowy Bili Norton. Drzwiami z drugiej strony nadeszli równocześnie Angela i Victor.

- Co to za przedstawienie? - rzucił ostro John Walters.

Państwo Morgan nie wyglądali na zaskoczonych. Victor i Angela usiedli przy nich na kanapie. Trzej Detektywi i Norton stanęli pod regałami naprzeciw Waltersa.

- Spektakl z niespodziankami, panie Walters - odpowiedział Jupe. - Pierwsza niespodzianka dla pana to nasza tutaj obecność. Czy nie powinniśmy teraz siedzieć pod kluczem w opuszczonej kopalni Black Hill? Pańscy ochroniarze oraz Peter York nie spisali się najlepiej.

- Co za brednie wygaduje ten smarkacz? - obruszył się Walters, próbując wstać z fotela.

- Proszę pozostać na miejscu, panie Walters - osadził go zdecydowanie prokurator Norton. - Dopiero zaczynamy przedstawienie.

- Będzie miało kilka aktów - podchwycił Jupiter. - Na razie pomińmy prolog i zacznijmy od aktu pierwszego. Akcja toczy się w małej restauracyjce "Casa Italiana". - Wyjął z kieszeni miniaturowy dyktafon i puścił w ruch taśmę.

"Pański szwagier ma poważny kłopot..." - rozległ się głos Petera Yorka.

"...Zanim zostaniesz u mnie dyrektorem, musisz mi przynieść te fotki. - Głosu Waltersa nie można było pomylić z żadnym innym. - Jeśli wyjdzie na jaw, że mój siostrzeniec uczestniczył w ekscesach Ognistych Demonów, Martin przegra wybory. Masz dwa dni... Morgan musi uwierzyć, że przegra wybory. Jeśli tego nie załatwisz, jest po tobie".

John Walters siedział nieruchomo i patrzył przed siebie ze wzgardliwym uśmiechem, jakby to nie jego dotyczyło.

- Akt drugi to wizyta Yorka w "Hadesie" i kupno fotograf! i ze sceną z Nocy Ognistych Demonów - ciągnął Jupiter. - Dokumentacja z transakcji do wglądu, panie Walters. Ciąg dalszy to realizacja pańskiego zlecenia. Pub na przedmieściach. Peter York i niejaki Tom Spine, fotograf.

Znowu dyktafon.



Spine: "Nie dokończyliśmy interesu".

York: "Dostałeś wszystko".

Spine: "Nie wiedziałem, że wmontowanie bużki to taka bomba. Za podłożenie bomby ulubieńcowi Kalifornii trzeba dać więcej... Spokojnie, panie York..."

Jupe zatrzymał taśmę.

- Przejdźmy teraz do następnego aktu przedstawienia. Za moją namową pan Morgan wyznaje Yorkowi, że waha się, czy nie przyjąć propozycji Waltersa, aby poparł projekt budowy w Błękitnej Dolinie. To test. Wkrótce potem telefonuje do niego szwagier.

Start dyktafonu.

Walters: "Z pewnością wahałeś się, ale zwyciężył rozsądek. Tylko ta duma, co? Honor ci nie pozwalał do mnie zadzwonić. No więc ja dzwonię. Aby usłyszeć, że przemyślałeś propozycję i przyjmujesz warunek".

Morgan: "A jeśli się mylisz?"

Walters: "Mam podstawę sądzić, że nie jestem w błędzie".

Morgan: "Ta podstawa to mój sekretarz, Peter York?"

Dramatyczna pauza i głos Waltersa: "Ich cierpliwość się wyczerpuje. Pojutrze cała Kalifornia zobaczy na pierwszej stronie "Los Angeles Sun" zbira kopiącego kobietę. Ten zbior to Victor. W uniformie Ognistych Demonów. I to będzie twój żalony koniec".

John Walters przestał się uśmiechać. Patrzył teraz na Morgana, nie tając nienawiści.

- To ty jesteś prowokatorem! Podpuściłeś mnie i nagrałeś! W porządku. - Uspokoił się nagle, zwrócił twarz w kierunku Nortona. - Przyjmijmy, że tak było, panie prokuratorze. Czy zwrócił pan uwagę na moje słowa "Ich cierpliwość się wyczerpuje"? Ich - czyli potężnego lobby stojącego za projektem budowy w Błękitnej Dolinie. Chciałem uchronić rodzinę przed ich gniewem. Czy nie miałem moralnego prawa?

Bili Norton nie zareagował. Stał z kamienną twarzą, oparty o regał biblioteczny.

- Jakie to lobby, panie Walters? - zapytał grzecznie Jupe.

- Wielki kapitał - odparł John Walters, kierując odpowiedź do prokuratora. - W ten projekt włożono miliony dolarów. Miałem podstawy, aby obawiać się o los swoich bliskich.

- Dlatego ostrzegałeś mnie, że z Victorem stanie się nieszczęście, jeśli mój mąż nie poprze projektu? - rozległ się cichy głos Sybil Morgan.

- Mogłem się bać...

Walters nie dokończył. Patrzył na plik papierów, trzymany w ręku przez Jupe'a.

- Kolejny akt przedstawienia to dane bankowe o inwestorach Błękitnej Doliny - zaczął Jupe. - Niestety, nie ma tu nic o żadnym lobby. Głównym udziałowcem projektu jest koncern

“Stock Industries”. Ma pan w tym przedsięwzięciu siedemdziesiąt pięć procent udziałów, panie Walters. To pański koncern wykupuje grunty w Błękitnej Dolinie i rzeczywiście włożył pan w to miliony dolarów. Można sprawdzić w First National Banking System. - Zrobił krótką pauzę. - Czy mam opowiedzieć, jak wyłudza się ziemię od farmerów? Oto historia niejakiego Iry Cornfieldda, kończąca się samobójstwem farmera w przeddzień zlicytowania jego farmy. Farmę wykupił “Stock Industries” z pomocą podstawionych pośredników, a historia zaczyna się od tajemniczego wykasowania zgody banku na przedłużenie terminów spłat długu...

- Dosyć! - przerwał mu Walters; jego nalana twarz zapadła się, poszarzała. - Niczego mi nie udowodnicie. Owszem, sekretarz Morgana narzucał mi się z donosami, ale ja mu niczego nie zlecałem. Nie miałem pojęcia, że fotografia jest sfalszowana.

- To dlaczego York zapłacił Spine'owi za fotomontaż dziesięć tysięcy dolarów z konta pańskiej firmy? - zapytał uprzejmie Jupe. - Czek jest do wglądu.

- Nic o tym nie wiem - mruknął John Walters, znów nieruchomo wpatrzony w grzbiety książek.

- Został nam ostatni akt spektaklu - powiedział Jupiter i podszedł do magnetowidu połączonego kablem z minikamerą wideo.

Na ekranie telewizora pojawił się obraz włoskiej restauracji: zasłonięte okna, blask świec, pochylone do siebie nad stolikiem głowy Waltersa i Yorka.

Peter York: “To ci Trzej Detektywi, panie Walters, zdaje się, że za dużo wiedzą, tylko oni mogą przeszkodzić...”

John Walters: “Muszą zejść nam z drogi. To ostatnie twoje zadanie”.

Peter York: “Wiem, gdzie ich znaleźć”.

John Walters: “To dobrze, Peter. Weźmiesz paru moich ludzi i zajmiecie się nimi. Muszą zniknąć na kilka dni, może na dłużej...”

Bili Norton po raz pierwszy ruszył się z miejsca. Szybkim ruchem zatrzymał magnetowid.

- Dalszy ciąg stanowi tajemnicę śledztwa - poinformował. - Pana, prezesie, prosiłbym o nieopuszczanie Los Angeles. Jutro zostanie pan oficjalnie przesłuchany.

Jupe podniósł dwa palce, prosząc o głos.

- Pominęliśmy prolog - przypomniał. - Jest pewna rzecz w tej sprawie, której nie potrafię rozgryźć. - Wyjął z kieszeni anonim otrzymany przez Jenkinsa i doręczony przez niego Morganowi. - W tym liście po raz pierwszy pojawiają się pogróżki pod adresem pana Morgana.

- On go wysłał - Martin Morgan wskazał na szwagra. - Teraz to już pewne.

John Walters spojrział na kartkę trzymaną przez Jupe'a i przecząco pokręcił głową.

- Bzdura - mruknął.

- Nie umiem również wyjaśnić, skąd się wzięło żądanie stu tysięcy dolarów - Jupe spojrział pytająco na Sybil Morgan, a ona pochyliła głowę, zapatrzyła się w szklankę z pomarańczowym sokiem. - Herszt Ognistych Demonów nie domagał się od Victora okupu w zamian za milczenie o jego przynależności do gangu.

- To prawda - przytaknął bezdźwięcznie Victor. - Nie należałem do nich.

- Wiem - powiedział Jupe. - Nie wiem, po co okłamałeś matkę.

- Victor mnie nie okłamał - rozległ się głos pani Morgan.

- A kto? - zapytał Jupe.

- Nikt.

- Po co w takim razie ukrywaliśmy pani syna? - twarz Jupe'a wyrażała szczere zdziwienie. - I przed kim?

- Przed moim mężem - wyszeptała po dłuższej pauzie Sybil Morgan.

Jupe, Pete i Bob wymienili spojrzenia. Nic z tego nie rozumieli. Nie rozumiał Bill Norton i nie rozumiał sam Martin Morgan.

Sybil Morgan podniosła się z kanapy. Jej elegancka sylwetka utraciła sprężystość, stała się przygarbiona. Oczy patrzyły gdzieś w bok.

- To ja napisałam anonim z pogrózkami - odezwała się półgłosem.

- Ale dlaczego? - wyrwało się Jupiterowi.

Przez dłuższą chwilę w bibliotece panowała cisza.

- Zrobiłam to po rozmowie z bratem - rozległ się cichy głos pani Morgan. - Ostrzegł mnie, że stanie się nieszczęście, jeżeli Martin jako senator nie przeforsuje projektu budowy w Błękitnej Dolinie.

- Ty też przeciwko mnie?! - wykrzyknął histerycznie Walters.

- A ja wiedziałam, że mój mąż nigdy się na to nie zgodzi. - Sybil Morgan jakby nie usłyszała okrzyku brata. - Pomyślałam, że będzie lepiej, jeśli nie zostanie senatorem. Uznałam, że to jedyne wyjście.

- I ułożyła pani plan z szantażem i ukryciem Victora przed Ognistymi Demonami - nie wytrzymał Jupe.

- Tak - potwierdziła Sybil Morgan. - Żeby nakłonić męża do rezygnacji. Przekonałam Victora i zgodził się na to.

Jupe spojrział z satysfakcją na Martina Morgana.

- Miałem wtedy rację - przypomniał. - Że próby nacisku i anonim nie są autorstwa tej samej osoby. Naciski dotyczyły poparcia projektu, a w liście żądano, aby pan nie kandydował. Wówczas nie mogłem tego zrozumieć.

- Teraz jest jasne - wtrącił z boku Pete.

Jupe poczuł na sobie wzrok Angeli. Zobaczył jej przepaszający uśmiech.

- Ja tu trochę namieszałam - usłyszał jej głos. - Nie wiedziałam dokładnie, o co chodzi, ale przyrzekłam mamie, że nic nie powiem ojcu. Musiałam jej zaufać, To ja namówiłam tatę, żeby skontaktował się z wami. Tyle tylko mogłam zrobić.

- Słusznie zrobiłaś - powiedział Martin Morgan.

Victor i Angela podeszli do Trzech Detektywów. Z twarzy Victora na dobre zniknął wyraz arogancji i stała się sympatyczna.

Miał nie lada zdolności aktorskie.

- Przepraszam za swoje zachowanie - uśmiechnął się do Jupe'a. - Musiałem udawać gbura. Inaczej nie uwierzylibyście, że mam coś wspólnego z Ognistymi Demonami. Moja noga już nie postanie w "Hadesie".

- Ich też - odezwał się z boku Norton. - Wszyscy są pod kluczem. Rolka filmu, którą od was dostałem, to niezbity materiał dowodowy. Szef FBI jest ci wdzięczny, Jupiterze.

- Ale obejdzie się bez całowania? - zapytał Jupe i ukradkiem zerknął na Angelę, która pod wpływem jego spojrzenia lekko się zarumieniła. - Wolałbym całusa od kogoś innego.

- O to musisz sam zadbać - powiedział Bill Norton i ukradkiem mrugnął do Angeli.